

VaritArt

pismo kulturalno-literackie
NR 01/2015 (26)



www.wbp.olsztyn.pl

ZORZA KULTURY



ISSN 2080-1483

Stanisław Czachorowski

Mikrokosmos, czyli urokliwe życie ssysdlaczek

W wielkim kosmosie dzieją się małe sprawy. Zapatrzeni w gwiazdy, świecące z odległych galaktyk, nie zauważamy maleńkiego świata pod nogami. Często nawet nie wiemy, że istnieje. Bo kto na przykład sły-szał o ssysdlaczkach? A przecież mogą być rozpoznawalną ikoną na-szego regionu, tak jak bociany czy kormorany. Albo Mikołaj Kopernik, co patrząc w gwiazdy, wstrzymał Słońce, a ruszył Ziemię. Zapatrzeni w globalne sprawy świata nie dostrzegamy małych rzeczy dziejących się na prowincji. Wydają się mniej ważne, niewidoczne. Bo skoro nie pokażą ich w telewizji, to zapewne nie istnieją. Tak jak ssysdlaczki – czy ktoś je widział? Są tak małe, że gołym okiem niedostrzegalne. Tak jak nasze codzienne sprawy...

Żeby dotrzeć do tajemniczego świata ssysdlaczek, potrzebny jest teleskop, ale... patrzący w drugą stronę, czyli mikroskop, powięk-szający mikrokosmos, abyśmy wzrokiem i umysłem zauważyli. Żeby dostrzec kulturę lokalnej prowincji potrzeba... innej filozofii. Małe nie znaczy wcale nieważne, niepotrzebne. Tak jak ssysdlaczki, które nie-dawno pojawiły się na malowanej dachówce.

Ssysdlaczki to małe pierwotniaki, orzęski, organizmy wodne, cza-sami pojawiające się na moich ulubionych chruścikach (owadach a nie ciastkach). Ssysdlaczki namalowane zostały na dachówce przez Katarzynę Niemczak w czasie dachówkowego pleneru w barczewskim Skarbcu Kultury Europejskiej i są przejawem powstawania unikalnej tożsamości regionalnej oraz współczesnej kultury. Okazją, by o nich opowiedzieć, jest Rok Kultury z mocnym akcentem na dziedzictwo przyrodnicze i kulturowe regionu. W jakimś sensie ssysdlaczki są na-macalnym przykładem prosumpcji kultury. Już od dziesięciu lat piszę na blogu „Profesorskie gadanie” (czachorowski.blox.pl) o bioróżno-rodności Warmii i Mazur. Czasem w przestrzeni publicznej w czasie malowania opowiadam o przyrodzie, tej znanej i mniej znanej. W re-zultacie coraz więcej osób, a zwłaszcza artystów, zaczęło dostrzegać

przyrodę wokół nas. W powieściach o prowincji Katarzyny Enerlich pojawiły się owady i ciekawostki przyrodnicze, na przystankach, malowanych przez Annę Wojszel, pojawiły się oprócz kwiatów także ważki i motyle. A na malowanych dachówkach pojawiło się dużo owa-dów i konkretnych gatunków roślin (polnych chwastów). Ale wszystko przebiły ssysdlaczki Katarzyny Niemczak. Mikrokosmos na dachówce wymalowany. W taki sposób dziedzictwo przyrodnicze łączy się ze współczesną kulturą.

Motywy przyrodnicze, nawet owady – zwłaszcza motyle, ważki, chrząszcze, od dawna pojawiają się w twórczości. Bo są piękne. Ale ssysdlaczek to nie było jeszcze chyba nigdzie! A tym bardziej na sta-rych dachówkach. To, co było już niepotrzebne i zdjęte ze starej sto-doly w Wipsowie lub Ruszajnach, przemieniło się w unikalną sztukę, która zbliża ludzi w trakcie tworzenia. Istny mikrokosmos społeczny.

Kultura regionalna na Warmii i Mazurach to coś, co się rodzi. Stąd potrzeba odkrywania, opisywania (kto się tego podejmie?). W moim odczuciu temat mocno wiąże się z poszukiwaniem współczesnej toż-samości. Z Warmią i Mazurami kojarzą się bociany, kormorany, jelenie. Ale to takie oklepane. Przecież występuje tu co najmniej kilkanaście tysięcy gatunków istot żywych. W większości nieznanymi, niedostrze-ganych. A przecież Warmia może być krainą ssysdlaczek, kłobuka i gadających dachówek. I tysiąca innych zwierząt i roślin, o których można opowiadać, śpiewać, które można malować.

Współczesna kultura jest mocno rozproszona, tworzona w różno-rodnych miejscach, niezależnie od siebie. W dyskusji mocno podkre-ślany jest związek przyrody (natury) z kulturą. A na dachówce z sy-sydlaczkami jest to już uwidocznione. Bo przecież nasza tożsamość i nasza kultura tworzy się w kontekście lokalnej przyrody. Dlatego ssysdlaczki na dachówce uważam za niebanalny przykład rodzącej się niepowtarzalnej współczesnej kultury Warmii i Mazur. Oraz Powiśla.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Sylvia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, Grzegorz Gwiazda, Zygmunt Droński

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Ssysdlaczki namalowane zostały przez Katarzynę Niemczak w czasie dachówkowego pleneru w barczewskim Skarbcu Kultury Europejskiej.

02
Kij w mrowisko · Stanisław Czachorowski

04
Wywiad z Jackiem Szubiakowskim

07
Proza · Frédérique Laurent

09
Poezja · Rzeźnia numer pięć

10
Poezja · Walt Whitman

13
Obrazki działdowskie · Elżbieta Zakrzewska

15
Proza · Iwona Bolińska-Walendzik

16
Galeria VariArta · Grzegorz Gwiazda

18
Szkicownik · Edward Cyfus

20
Muzykalia · Krzysztof D. Szatrawski

21
Wizytówka kulturalna

22
Recenzja · Urszula Witkowska

23
Filozofia · Barbara Kazimierczak

24
Wszechnieć · Anna Rau

26
Recenzja · Anita Romulewicz

27
De temporibus anticis · Agata Kulbicka

28
Recenzja · Barbara Kazimierczak

29
Poezja · Rzeźnia numer pięć

30
Proza · Bobby B. Barlow

31
Felieton · Monika M. Błaszczak

*Dawno, dawno temu
w odległej galaktyce...*

*Sysadlaczki i Marsjanie
w kosmicznej dziurze
dryfowali w kierunku Ziemi.*

*Kosmicznym językiem
przemawiając, wygłosili
manifest kultury:*

*Bip bip bip bip bip bip
Bip bip bip bip bip bip?
Bip bip bip bip bip bip
Bip bip bip bip bip bip!
Bip!!! Bip!!! Bip!!! Bip!!!*

*Wyruszcicie z nami
w tę kosmiczną podróż!*

Astroredakcja VariArta

Piękno rozgwieżdżonego nieba i matematyki

Rozmowa z **Jackiem Szubiakowskim**,
dyrektorem Olsztyńskiego Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego

Dlaczego astronomia jest ciekawa? Co jest w niej takiego fascynującego i czy wiedza astronomiczna przydaje się w życiu codziennym? A może korzystamy z niej, ale o tym nie wiemy?

Właśnie to ostatnie zdanie dotyka sedna rzeczy. Korzystamy z tej wiedzy, a często nie mamy o tym pojęcia. Astronomia współczesnemu człowiekowi może wydawać się oderwana od codziennego życia, od praktyki, natomiast nie zawsze tak było. W okresie rozwoju cywilizacji szczególnie ludy zajmujące się zbieractwem i myślistwem bardzo mocno zwracały uwagę na niebo, chociażby dlatego, że stanowiło dla nich pewnego rodzaju kalendarz. Pierwsze kalendarze były kalendarzami księżycowymi, ponieważ zawsze łatwiej liczyć do trzydziestu niż do trzystu sześćdziesięciu. Kiedy powstały kultury rolnicze, słońce stało się bardziej istotne i w Egipcie powstał kalendarz słoneczny. Trzeba było też jakoś połączyć go z tym księżycowym – dzisiaj śladem po tym jest nasz obecny kalendarz słoneczno-księżycowy. Różne były jego koleje, o czym świadczą m.in. nazwy miesięcy, np. grudzień, którego łacińska nazwa pochodzi od dziesiątki, a więc był to miesiąc dziesiąty a nie dwunasty, prawda? Skąd to się wzięło? W czasach przedjuliańskich pierwszym miesiącem był marzec – kalendarz bardziej powiązany był z równonocą, a nie, jak teraz, z przesileniem zimowym.

Podobne ślady w nazwach, przysłowia, zabytkach, takich jak Stonehenge, świadczą o tym, że astronomia, wbrew pozorom, była kiedyś wiedzą bardzo praktyczną. W tej chwili jesteśmy jakby odcięci od oglądania nieba, ponieważ żyjemy, głównie mieszkańcy miast, w świecie zanieczyszczonym światłem, więc widzimy kilka jaśniejszych gwiazd, czasem księżyc i niewiele więcej. Dopiero gdy gdzieś wyjedziemy: poza miasto czy w czasie wakacji, możemy spostrzec całe piękno nocnego nieba, które tak zachwycało i astronomów, i filozofów. Kant przecież mówił „Niebo gwieździste nade mną, prawo moralne we mnie”, czyli poczucie estetyki było bardzo silnie związane z obserwacją nocnego nieba i gdzieś tam chyba tkwi to głęboko w człowieku po dzień dzisiejszy.

Dzisiaj korzystamy również z owoców pracy późniejszych obserwatorów nieba.

Tak. Na przykład Izaak Asimov napisał kiedyś książkę pt. *The Triple Triumph of the Moon* ukazującą wpływ Księżyca na dzieje ludzkości, czy w ogóle życia. Po pierwsze stwierdził, że nasz satelita powoduje zjawisko pływów, za sprawą których dwukrotnie w ciągu dnia woda w oceanach i morzach podnosi się i opada. Różne są wielkości pływów w różnych miejscach, gdzieś tam nawet kilkanaście metrów – jest to związane z przyciąganiem grawitacyjnym księżycy i słońca. A przed wieloma milionami lat, przed setkami milionów lat Księżyc był jeszcze

blżej Ziemi i pływy występowały częściej, a ich amplitudy były większe. Wobec tego stworzenia morskie co pewien czas były pozbawiane środowiska i to je „zmotywowano” do zdobywania przestrzeni lądowej. Musiały jakoś przetrwać. Prawdopodobnie właśnie dzięki pływom życie wyszło na ląd. To pierwszy wpływ Księżyca na Ziemię.

Po drugie, według Asimova, Księżyc wpłynął na rozwój naszej cywilizacji. Człowieka zainteresowało to, że zmienia on swoją aparycję: czasem jest sierpem, czasem w pełni, czasem znika zupełnie i to zapewne był początek arytmetyki. Ludzie zaczęli liczyć, zauważyli, że są pewne cykle nieba, które się powtarzają i ta obserwacja zainspirowała ich matematycznie, przynajmniej niektórzy tak twierdzą.

Właściwie Księżycowi zawdzięczamy dużo więcej. Otóż niektórzy astronomowie twierdzą, że nasz układ to podwójna planeta: Ziemia – Księżyc. Ten układ o dużym momencie pędu, związanym z ruchem orbitalnym Księżyca, stabilizuje oś obrotu Ziemi i dzięki temu nie „kiwa” się tak mocno w przestrzeni, jest oczywiście precesja, ale ona jest dosyć stabilna. W tej chwili niektórzy poszukiwacze życia w kosmosie czy egzoplanet, na których może być życie, twierdzą, że należy skupić się na planetach z dużym księżycem, gdyż właśnie taki układ jest na tyle stabilny grawitacyjnie, by trwać dostatecznie długo, aby rozwinęło się tam życie.

Astronomia napędza również inne nauki, np. fizykę czy nawet do pewnego stopnia matematykę, popatrzymy chociażby na osiągnięcia Newtona. Także niewątpliwie odgrywa ona znaczącą rolę w naszym życiu, chociaż sobie tego czasem nie uświadamiamy.

A co Pana najbardziej pociąga w astronomii?

Widok rozgwieżdżonego nieba jest wyjątkowo poruszający, ale w astronomii jest dużo więcej spraw i problemów, które mogą dawać satysfakcję i są interesujące, jednakże żeby to docenić, trzeba opanować język matematyki. To, co ja podziwiam w dokonaniach Mikołaja Kopernika, to właśnie nie stwierdzenie, że Słońce jest w środku, a Ziemia jest jedną z planet – już przed nim kilku filozofów i astronomów arabskich to powiedziało – ale to, że zbudował spójny matematycznie system, który dawał przewidywania nie gorsze niż system Ptolemeusza. To jest jego osiągnięcie, czyli zaprzęgnięcie matematyki do sformułowania spójnej teorii heliocentrycznej.

Według mnie w astronomii – czy może raczej w astrofizyce – najbardziej interesujące jest nie to, co możemy dostrzec za pomocą zdrowego rozsądku i obserwacji nieba, ale to, co daje się zauważyć poprzez zastosowanie określonych narzędzi, zwłaszcza za pomocą uniwersalnego narzędzia, jakim jest matematyka. Jest ona nauką, jeżeli można ją nazwać nauką, transparentną i nie dorzuci nam jakiś artefaktów do

tego, co z jej pomocą analizujemy. Dzięki niej potrafimy popatrzeć troszeczkę dalej, dostrzec to, co niedostrzegalne.

A czego o astronomii, o wszechświecie możemy się dowiedzieć w Olsztyńskim Planetarium i Obserwatorium Astronomicznym?

Głównym działaniem Planetarium jest upowszechnianie astronomii. Robimy to na wielu poziomach – wielopłaszczyznowo czy raczej wielowątkowo – przede wszystkim poprzez popularne seanse astronomiczne. Niezależnie od pogody możemy popatrzeć na rozgwieżdżone niebo, ale również nieco dalej – przy pomocy bardziej wyrafinowanych narzędzi takich jak teleskop kosmiczny czy też teleskopy widzące w innych zakresach widmowych – i opowiedzieć ciekawe historie o zjawiskach, o obiektach znajdujących się na krańcach układu słonecznego, albo jeszcze dalej. Możemy zobaczyć jakiś przekrój naszej galaktyki, jak to wszystko wygląda, jak to wszystko działa, albo popatrzeć w bezkres wszechświata, zając się kosmologią. Staramy się pokazać fascynujące elementy astronomii, opowiedzieć o rzeczach, które, o dziwo, wzbudzają spore zainteresowanie w społeczeństwie. I to jest nasza podstawowa działalność – mówienie o otaczającym nas wszechświecie, sięgając aż do jego krańców.

Drugim aspektem naszej działalności jest wsparcie formalnej edukacji, czyli dydaktyka. Planetarium doskonale nadaje się do tego, aby wytłumaczyć uczniom pewne zjawiska czy pojęcia, które są związane z niebem, a pojawiają się zarówno na lekcjach geografii, jak i fizyki, czy też jeszcze wcześniej na przyrodzie. Możemy wyjaśnić, dlaczego słońce wschodzi i zachodzi, dlaczego widzimy je czasem w południe świecące wysoko, zaś zimą świeci bardzo nisko, skąd bierze się następstwo pór roku, dlaczego widnokrąg jest linią, która nas otacza i nie możemy nigdy dojść do krańca świata. Dużo łatwiej pokazać to na sferze w planetarium niż na płaskiej tablicy i stąd też popularność Planetarium wśród nauczycieli, którym prawdopodobnie, mam taką nadzieję, ułatwiamy pracę.

I wreszcie trzeci aspekt naszej działalności – to już jest upowszechnianie wiedzy na wyższym poziomie, wśród tych, którzy bardziej interesują się astronomią. Prowadzimy cykl popularnych wykładów astronomicznych. Olsztyńskie Planetarium jest chyba jedynym ośrodkiem, poza Uniwersytetem Warszawskim i Centrum Astronomii im. Kopernika w Warszawie, który ten cykl prowadzi tak długo – nieprzerwanie od roku 1974. Gościliśmy wielu naukowców pracujących na polskich uniwersytetach i w Instytutach Polskiej Akademii Nauk. Te piątkowe wykłady cieszą się sporym powodzeniem. Przychodzi na nie mnóstwo ludzi: zarówno osoby starsze, jak i studenci czy uczniowie szkół średnich. Staramy się zapraszać naukowców z całego kraju, czasem zdarza się, że i z zagranicy, stąd mam nadzieję, że są one na stosunkowo wysokim poziomie i można się na nich wiele dowiedzieć, również z pierwszej ręki. Oprócz tego prowadzimy kółka zainteresowań dla praktycznie każdej grupy wiekowej – zaczynamy od przedszkolaków, a od kilku lat działa również koło dla Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Obserwatorium uzupełnia, że tak powiem, działania Planetarium. Powstało mniej więcej sześć lat później – w roku 1979. Jego zadaniem jest pokazanie pracy astronoma – są tam pracownice, które prezentują

różne aspekty badań astronomicznych, np. pomiar czasu, troszeczkę mówimy o historii astronomii, pokazujemy instrumenty kopernikowskie, mówimy jak one działały. Od pewnego czasu istnieje tu również pracownia meteorytyki. Mamy spory wpływ na rozwój tej dziedziny nauki w Polsce, bowiem właśnie u nas przed laty zawiązało się Polskie Towarzystwo Meteorytowe i co dwa lata w Olsztynie odbywa się seminarium Polskiego Towarzystwa Meteorytowego.

Jest więc miejsce na działalność naukową?

Nie jesteśmy co prawda instytucją naukową – jesteśmy instytucją kultury i naszym głównym celem jest popularyzacja i edukacja, natomiast nie da się, moim zdaniem, tego robić dobrze, jeżeli nie będziemy mieli styku z nauką przez duże N. Musimy wiedzieć, co akurat jest aktualne, jakie są osiągnięcia, jakie są metody badawcze itd., musimy znać ludzi, którzy są zaangażowani w badania naukowe w tym zakresie, który nas w planetarium interesuje. Myślę, że dzięki temu jesteśmy na bieżąco i potrafimy przekazywać tę najbardziej nowoczesną wiedzę. W tej chwili w Olsztynie tworzy się naukowe środowisko astronomiczne, bowiem tutaj właśnie będzie zlokalizowana jedna z anten z systemu radioteleskopów LOFAR. Zajmuje się tym prof. Frankowski pracujący na UWM, ale my również wspieramy go *outreachem*, mówimy, na czym polegają te badania, a kiedy będą już wyniki, będziemy starali się przedstawić je publiczności.

A więc po wielu, wielu latach starania ludzi, którzy byli zaangażowani w powstanie Planetarium, myślę tutaj przede wszystkim o prof. Lubomirze Włodzimierzu Baranie i pierwszym dyrektorze Planetarium, prof. Stanisławie Oszczaku, zaczynają owocować powstaniem w Olsztynie środowiska naukowego nakierowanego na badania astronomiczne.

Jak zmieniło się Olsztyńskie Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne na przestrzeni ostatnich dwunastu lat?

Chociaż może nie wszyscy odwiedzają Planetarium, jesteśmy w Olsztynie rozpoznawalni i wszyscy wiedzą, gdzie się mieścimy – chociażby za sprawą zlokalizowanego w pobliżu przystanku autobusowego o nazwie „Planetarium”. Jak ono się zmienia? W momencie powstania, ponad 40 lat temu, było dosyć nowoczesne, wyposażone w taką optyczno-mechaniczną aparaturę produkcji Zeissa. Również sam budynek jest, w porównaniu z innymi istniejącymi planetariami w Polsce, architektonicznie interesujący i dosyć wygodny w użyciu. Przez wiele lat ten rodzaj prezentacji nieba, jaki umożliwiała aparatura mechaniczna, troszeczkę się zestarzał. My go rozbudowywaliśmy, stawiając różnego rodzaju projektory dodatkowe, ale obraz był cały czas nieruchomy, a przygotowanie materiałów do projekcji, które tworzyliśmy tu głównie sami, było bardzo pracochłonne i czasochłonne. W 2012 r. uruchomiliśmy nowy system projekcyjny i to jest chyba największa zmiana, jaka tutaj zaszła. System projekcyjny DIGISTAR II firmy SkyScan umożliwia tworzenie seansów astronomicznych oraz wyświetlanie filmów w technologii cyfrowej – to znaczy wszystko dzieje się w dużym klastrze komputerowym składającym się z kilkunastu komputerów, z których każdy ma określone zadanie, a obraz jest wyświetlany na ekranie za pomocą dwóch dużych projektorów wideo. Powstają pokazy czy

też filmy typu *fulldome* – ta nazwa ma oddawać sposób prezentacji na ekranie: *dome* jest to właśnie kopuła i jest ona wypełniona treścią wizualną. Czasem nazywa się to również *immersive cinema* – to znaczy, że widz jest „zanurzony w kinie”.

Nowa technologia zmieniła zupełnie filozofię tworzenia tychże seansów i spowodowała zapotrzebowanie na pracowników o zupełnie odmiennych kwalifikacjach: informatyków i grafików komputerowych, którzy potrafią przygotować odpowiednie materiały. A więc są nowe wymagania i nowe możliwości, bo możemy być też trochę kinem i pokazywać inne filmy wykonane w tej technologii. Zaczęliśmy też sami tworzyć takie filmy. Musieliśmy odpowiednio zmodernizować infrastrukturę: zbudowaliśmy studio, zdobyliśmy odpowiednie macierze dyskowe i zaczęliśmy tworzyć własne seanse. Powstał film o fraktalach – podróż po wszechświecie ułamkowych wymiarów, to są wymiary niecałkowite, np. 1,5 a nie 2D albo 2,5 a nie 3D, takie bardzo interesujące twory matematyczne. Kolejny film, z którego jesteśmy bardzo dumni, to *Olsztyn Nasze Miasto*, pokazujący zarówno historię, jak i współczesność naszego miasta. W tej produkcji bardzo udało się nam zanimowanie starych pocztówek. Osiągnęliśmy dość ciekawy efekt, budując plany w płaskich obrazach i poruszając obiektami – ożywiło to zapis historii XIX-wiecznej i początku XX w. w naszym Olsztynie. Obraz ten pokazaliśmy na festiwalu filmów Fulldome w Brnie i wzbudził on zainteresowanie. Staramy się dotrzymać kroku najlepszym, być w dobrym towarzystwie. Technologia jest dosyć nowa, więc jest to duża szansa – zarówno dla Planetarium, jak i dla młodych ludzi, którzy przy tym pracują.

Ogromny wysiłek włożyliśmy w rewitalizację i remont Obserwatorium, które znajduje się w budynku zabytkowym. Przede wszystkim należało zabezpieczyć mury starej wieży ciśnień – ponad stuletniego budynku – ponieważ były zniszczone przez zasolenie i zawilgocenie. To się nam udało i ten etap remontu zakończył się w roku 2007. Rok później otrzymaliśmy za niego nagrodę „Zabytek Zadbane” w kategorii budynków przemysłowych. Miałem zaszczyt odbierania tej nagrody z rąk ówczesnego wiceministra kultury, pana Tomasza Merty. W drugim etapie remontu Obserwatorium zostało wyposażone w windę, która ułatwia dostęp do poszczególnych pracowni i do tarasu widokowego osobom niepełnosprawnym.

Kolejną znaczącą inwestycją jest stworzenie ASTROLABIUM, czyli astronomicznego laboratorium mobilnego wyposażonego zarówno w mobilne planetarium, jak i doskonały zestaw teleskopów i urządzeń, które tworzą zaplecze do prowadzenia zajęć w terenie, np. w szkołach czy podczas imprez plenerowych. Astrolabium bywało nawet w marketach i spotkało się z dużym zainteresowaniem. Odnieśliśmy tutaj pewien sukces. Pomysł podpatrzyło też województwo opolskie – w tej chwili jeżdżą tam już trzy takie samochody, co dowodzi, że była to dobra idea i że pomysł się sprawdził.

Co nas czeka w Planetarium i Obserwatorium w przyszłości?

No, jest to ciężkie pytanie, bo przyszłość jest trudna do przewidzenia. Kiedyś używano do tego astronomii. Fizyka od czasów Newtona posługuje się zaś tak zwanym równaniem ruchu, które mówi nam, że jeżeli znamy stan obecny układu, to możemy poznać jego stan przyszły. Oczywiście dotyczy to tylko najprostszych sytuacji fizycznych, ale to też jest swego rodzaju przewidywanie przyszłości.

Myślę, że w najbliższym czasie będziemy zagospodarowywać tę nowo zbudowaną infrastrukturę, a więc nadal rozwijać nasze studio. Chcemy opracowywać nowe programy i kupować dobre programy robione przez renomowanych producentów. Cały czas musimy pamiętać o tym, że technologie wizualizacji bardzo szybko się rozwijają. Będziemy trzymać rękę na pulsie, żeby nie doprowadzić do dekapitalizacji tej aparatury, żeby ona się nie zestarzała. Również w Obserwatorium planujemy wykorzystać cały dorobek inwestycyjny. W tej chwili nastawiamy się na miękkie projekty, na zbudowanie wydarzeń czy też działań edukacyjnych, popularyzatorskich związanych z tym potencjałem, który posiadamy.

Planetarium znajduje się, jak wiemy, w jednym budynku z Miejską Biblioteką Publiczną i z Galerią Sztuki Współczesnej. Czy astronomii jest po drodze z kulturą i sztuką?

Przyznam się, że to pytanie zwykle trochę mnie irytuje. Abstrahuję już od tego, że w Olsztynie jest tak czy inaczej, ale generalnie rozdziela się nauki ścisłe i kulturę. W 1959 r. Charles Percy Snow napisał książkę pt. *The Two Cultures*, która opisuje to zjawisko. Jest ono obserwowalne ogólnie na świecie – istnieją jakby dwa rodzaje kultury. Jest kultura typu *science*, czyli nauki ścisłe i przyrodnicze oraz kultura *humanities* – czyli nauki humanistyczne. W przeszłości nie zawsze tak było. Ten rozdział nastąpił gdzieś w epoce Oświecenia, w XVII-XVIII w. Wcześniej te kultury były bardziej zunifikowane, szczególnie w starożytności. U Szekspira można znaleźć na przykład elementy teorii Kopernika czy pojawienie się gwiazdy supernowej. Emanacja nauki do kultury, tak jak my ją dzisiaj pojmujemy, była kiedyś silniejsza niżli w tej chwili. Ja sobie przypominam tylko jedną sztukę poświęconą fizyce, to jest sztuka Dürrenmatta *Fizycy*. A na przykład starożytny astronom ateński Meton, oprócz tego, że wsławił się swoimi pomiarami czasu, które przyczyniły się do rozwoju demokracji ateńskiej, był również bohaterem sztuk teatralnych. Także ten rozdział rzeczywiście istnieje. Może bierze się on stąd, że kultura humanistyczna jest nastawiona bardziej na tradycję, czyli patrzy w przeszłość. Takie jest moje osobiste odczucie – w humanistyce widać bardziej tradycję, natomiast kultura typu *science* chce iść do przodu i patrzeć na to, co będzie w przyszłości. Problemem jest też rozdzźwięk języka.

Ale Planetarium podejmuje współpracę z BWA i z biblioteką...

Oczywiście i to już od wielu, wielu lat. W 2009 r., który był ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Astronomii, razem z BWA zorganizowaliśmy dużą wystawę poświęconą astronomii: *From Earth to the Universe*, w wolnym tłumaczeniu: *Z Ziemi do Wszechświata*. Bardzo ciekawie nam to wyszło. Razem organizujemy zwykle imprezy związane z Nocą Muzeów, a z biblioteką w tym roku Dzień Dziecka w Parku Centralnym. Także tutaj bardzo dobrze nam się współpracuje i sądzę, że jest to ciekawa idea, by połączyć te różne aspekty kulturowe. Jesteśmy też członkiem stowarzyszenia SPIN – Porozumienie Społeczeństwo i Nauka – które zrzesza instytucje popularyzujące naukę. Powstało ono na odbywającej się w Warszawie Konferencji „Interakcja-Integracja”. Tam narodził się pomysł, by zbudować takie stowarzyszenie, które będzie lobbowało na rzecz zwiększenia znaczenia kultury typu *science*.

Dziękuję za rozmowę.

rozm. Sylwia Białęcka, red. Monika Kowalewska

Grisaille

Najważniejsze są niebiosy, niekończące się niebo wieńczące rozległe równiny, dzwonnice i piaski, niebo rozpuszczające horyzont w nierozróżnialny stop niebieskawej, błyszczącej szarości. I jeszcze spokojne fale ogromnego i mrocznego jeziora, które wydaje się nie mieć końca. Zwiędły tatarak zwiesza się nad pomarszczoną wodą u stóp małych i słabiotkich wierzb. Labirynty prężnych i zwartych szuwarów i sosen. Wyżej jeszcze raz ciemne lustro niebios, pokazujące swoje zmienne i nieustalone jeszcze o tej porze roku oblicze.

Bocian z klekotem ląduje na gnieździe założonym na kominie. W oddali czerwone wieże kościelne chowają głowy w oceanie niebios. Hen do Kamienia, Mikołajek i aż do jeziora Śniardwy.

Obudzony o świcie wciągnął sweter, włożył traperskie buty, dwa ciężkie buciory, które pozostawia ślady na błotnistych ścieżkach sitowia.

Henryk czeka na ciebie w restauracji. Pogoda niepewna. Gorąca kawa, bułki, dżem. Mgła utrzymująca się przy błotnistej ziemi. Chlupot fal, idziecie gęsiego w milczeniu, ty za swoim przewodnikiem. Jest dziesiąta. Niebo się przeciera i na wodzie jeziora zaczynają błyszczeć promienie słońca. Słońce późnej wiosny, które odsłania pomiędzy trzcinami chłodny, stalowy kształt. Chwytasz lornetkę. Bocian. Powoli wlatuje i leci nisko jak po linii ponad jasnymi polami, których krawędzie ciemnieją. Wreszcie wlatuje majestatycznie w lasy niebo. Jeszcze widzisz wyraźnie jego żywą, ruchliwą głowę, która uważnie spojrzała na ciebie. W końcu opada jak strzała za brzoza i znika. Przy polanie pojawia się ścieżka pod leszczynami. Sucha gałąź pęka pod butami, płoszy się sójka, wiewiórka śmiga po dębim do swojej kryjówki. Tu i ówdzie las niskopienny wygląda jak sztuczny bukiet rozświetlany przez słońce. Wąskie cienie brzoź rozchodzą się, błękitniejąc na dróźnie. Czerwone ściany domów zaczynają się pojawiać zza ścian mrocznego lasu. Lasu warmińskiego.

Las wydaje się nieskończony. Pyszna, rzucającą się w oczy zieleń wieńczą korowody chmur nad wierzchołkami drzew. Po zejściu śniegów, kiedy już wszystko lśni w promieniach słonecznych, wystarczy jedno tchnienie pogody, aby jasność rozlała się w poszyciu lasu. Cały dzień to jedno wielkie światło. Tuż przed zapadnięciem nocy las wciąż powoli swoje umilkłe futro, a na firmamencie pojawiają się błyszczące gwiazdy, rywalizujące z księżycem.

Najmniejszy dźwięk, trzepot leciutki skrzydła, zduszony dała krzyk – tylko jeszcze mocniej wzmacniają wrażenie klarownej ciszy. Rzecz by można, że świat ćwiczy się tutaj w wyciszaniu hałasów, w rozbrajaniu dźwięków z ich brzmień, tak aby w końcu stały się nierozróżnialne. Żyłki na pninach młodziutkich drzew stykają się z ciemnymi i jasnymi brzdami starych. Mrok roztapia się w nicość. Silny zapach żywicy i rosy miodowej unosi się w podmuchach tanecznych powietrza.

Widzę was, ciebie i Nellę, razem w ciepłym cieniu dzikiej róży, pod jej sklepieniem macie dobre schronienie, aby wspólnie pomarzyć.

Cienie przemykają pomiędzy młodymi łodygami, coraz szybciej się ślizgają, jakby wiedziały, że świt od wschodu zjawi się tuż, tuż. A wokół was rośnie las, rozciąga się wiekowy las i zaczyna was wciągać w swoją historię, mroczną jeszcze u jego czarnych stóp i coraz bardziej rozjaśnioną na poziomie horyzontu. Bładym światem śpiew zięb sprzyja waszym obietnicom. A co to za narośl na tej dużej i widlastej brzozie! Co na to Księgi? Za czasów Pliniusza Starszego drewno brzozy służyło do wyrabiania magicznych pochodni weselnych na czas ślubu. Tutaj i dzisiaj uważa się, że brzoza wypędza nieczyste moce – białą, swojską brzoza, drzewo świetliste, przynoszące szczęście, które przyjmuje dusze zmarłych błędzące bezdomnie...

Czuć ruch powietrza przynoszący woń świeżej żywicy i dojrzałych płatków dzikiej róży. Spokojna jest polana i niegdysiejsze bory podchodzą pod wieczyste łąki. Tamta daleka wioska to arkadyjska Szymonka, jak zwykle szczerze otwarta na spotkania z wędrowcami. Czy Nella ma nadal długie, brązowe warkoczki? Czy nadal chce się tobie czytać te dziwne wiersze, czy nauczysz się w końcu, jak rozpala się ognisko? Nella, ona zna tyle rzeczy! Czy jesteś z nią tutaj, czy obserwujesz, niezręczna gapo, czas, który mija? Umysł twój jest roztrzępany i dziwi się twojej samotności. Jak zwykle chce ci się spać i obojętniejesz. Jesteś sam? Skarżysz się na samotność? Przede wszystkim to nie dramat. Patrz na las, naucz się obserwować pióropusze jego ciemnej korony. Wyciągnij do niego rękę podczas przechadzki leśną drogą zamiast go wyprzedzać. Uchroni go przed burzą! I nie pytaj mnie, co o tobie mówią...

Nella jest jak Alina. Obie płaczą rzewnymi łzami. Alina jak Łyna. Nella, kiedy ty odchodzisz.

Wierna Alina, wierna żona wodza pruskiego plemienia zwana Babą Pruską, która odepchnęła umizgi Vileniusa, syna Warmii, czarownicy. Warmia kazała zabić męża Aliny w czasie bitwy. Alina płakała i płakała przez wiele miesięcy, aż jej łzy, lecące po policzkach jak paciorki różańca, ufowormowały rzeczkę, a rzeczka oczko wodne, oczko wodne biały staw, a biały staw przezroczyście jezioro: jezioro Długie, Kortowskie, Sukiel, właśnie tak. A to ostatnie się przelało i powstało Ukiel. Oj, la, la, la. Rzeczka została nazwana Aliną, Łyną, a miasto nad nią Alue Status, Allenstein czyli Olsztyn, właśnie tak! Kto chce wierzyć w tę opowieść, niech sobie wierzy!

Nella jest jak Alina, płacze, kiedy odchodzisz. Idzie nad brzeg Łyny, a rzeka ma wiele wad. Jest za długa, stanowczo za długa. Nella wpatruje się w swoją twarz odbitą w wodzie. Wyrusza na spacer po mieście. W Olsztynie jest więcej niż dziesięć jezior, które osadzone są jak brylanty w krajobrazie i lasach. Są dzielnice jak Stare Miasto, Kortowo, które stosownie do pory roku przeglądają się w zwierciadłach niebieskiego lub szarego nieba. Oddalony stąd zamek jest ceglasczerwonny...

Frédérique Laurent – francuska tłumaczka literatur: niemieckiej, polskiej, alzackiej i włoskiej, nowelistka; ostatnio prowadzi warsztaty translatorskie na uniwersytetach w Paryżu i Strasburgu; przełożyła m.in. utwory prozatorskie Stefana Chwina, Andrzeja Stasiuka, Krzysztofa Rutkowskiego, Martina Mosebacha i innych. Tłumaczy także wiersze Kazimierza Brakonieckiego, ostatnio np. wybór jego poezji zatytułowany L'Atlantide du Nord (Folle Avoine, 2014). Wśród jej przodków znajdują się Polacy. Mieszka w Chatou koło Paryża. Warmię i Mazury odwiedziła kilka lat temu na zaproszenie Centrum Polsko-Francuskiego w Olsztynie.

W poetyckiej opowieści, której tytuł przywołuje technikę malarską zwaną „grisaille” (malowanie różnymi odcieniami szarości), autorka opowiada o swojej fascynacji francuską krainą zwaną Plateau Mille Étangs (Płaskowyż Tysiąca Stawów w Wogezach) oraz polską Krainą Tysiąca Jezior.

Prezentujemy wybrane fragmenty poświęcone Warmii i Mazurom z tomu: Frédérique Laurent: Grisailles, Wyd. L'Atelier du Grand Tétrás, 2014, str. 75, ilustracje Marianne K. Leroux.

I ponownie jest poranek. Słońce triumfalnie świeci nad granicami miasta jak rozpalony globus wskazujący na wiosnę: jeziora błękitnieją. Nella wchodzi i wychodzi. Dwukrotnie się starannie uczesała. Wyobrażam ją sobie, jak otwiera kufry i kuferki, wybiera szale i stroje. Normalnie nosi się jak najbardziej prosto. Zbiera włosy w koński ogon, wkłada płócienne spodnie, sweter i płaskie buciki. Jedzie pierwszym autobusem do Barczewa. Pracuje na małym rynku do czwartej godziny, a następnie wraca do Olsztyna, robi zakupy i wraca do swojej kawalerki.

Tego ranka Nella na ciebie czeka. Wygląda jak księżniczka z Północy, jak mityczna bogini. Siedzi prosto przed swoim lustrem i nie potrzebuje już wody, aby ujrzeć swoją podobiznę. Na włosach ma opaskę z niebieskiego aksamitu uperfumowaną olejkiem bergamotowym. Krótka spódniczka, sandały liege na wysokich obcasach. Z pudełeczka zrobionego z brzozonej kory wyjmuje potrójną obrączkę srebrną, która dostała od ciebie i która nigdy nie ściemnieje.

Czeka na ciebie i teraz też, ale ty nie przyjdiesz. Może jutro, taką ma nadzieję. Dzisiaj nie wybierze się nad jezioro. Jest zbyt smutna. Pozostanie w mieście. Oto i starówka, oto i Wysoka Brama...

Przemierzasz piaszczystą równinę i uważasz, że nie ośmielę się rzucić za tobą w pościg. Wolałbyś schronić się u Nelly, a ona chętnie cię zatrzyma. Jednak Puszcza Piska liczy sto tysięcy hektarów i mógłbyś się z łatwością ukryć w tym lesie sosen, świerków, brzoź, osik, klonów, wierzb i dębów. A więc uważaj na potoki, na piaski, bo wszystko może zdradzić twoje ślady!

Jeśli zdecyduję się podążać twoim tropem, to wyłącznie po to, aby ulec urokowi tej krainy, tym legendarnym lustrom wodnym, tym głębokim lasom. Jezioro Nidzkie ma łukowy kształt i jest jednym z najpiękniejszych jezior polskich. Karwica, Wiartel, Jańsbork. Czy jeszcze można w tych licznych jeziorach znaleźć grudki bursztynu?

Można sobie wyobrazić, jak niegdyś musiały wyglądać Jańsbork (Pisz), zanim dotkliwie dotknęły go wojny. Fasady chyba były holenderskie, architektura niemiecka, a domy szachulcowe. Dominujący kolor na Mazurach i Warmii to czerwonawy. Jańsbork – ta nazwa brzmi

tak poetycko... Jednak to jest ciekawe, jak Natura potrafi odwrócić nasze początkowe intencje, kiedy krzaki i żywopłoty pełne są ćwierkających ptaków, a ziemia zaczyna oddychać, odurzać nas woniami, umieszczać na naszych twarzach uśmiech. Zaczynamy głęboko wchłaniać darowane nam powietrze, wpięrować powolutku i nierównomiernie, a później już bardziej odważnie, co może skończyć się nawet przykrą niespodzianką. Za twoim ramieniem szereg dotychczas zamkniętych pączków pęka i staje się pierwszym kwiatnym bukietem.

Puszcza Piska to ogromny rezerwuuar zasobów leśnych. Chroni jeleń, łosie, dziki, skrywa rysie i żubry. Kiedy zapadnie noc, kiedy światła staną się podobne do migoczących świetlików błędzących jak gwiazdki, może uda ci się je spotkać gdzieś tam daleko na polanie. Czy wzięte ze sobą ołówki, kredki, papier?

Śledzę twoje kroki z daleka, silniejszy podmuch od wody wybrzusza twoją wiatrówkę. I nagle cichnie szemranie listowia. Dyskretna cisza niesie cię jak spokojny strumień. Binduga Lasek jakby zastygł. Duszek leśny siedzi na gałęzi, a ty rytujesz swoją prośbę na korze starej brzozy, która wyciąga do ciebie ramiona:

Niech Nella da mi spokój! Nie chcę żyć jak w więzieniu. Spróbuj zapomnieć o mnie ty, która mnie śledzisz!

A ja, która cię śledzę, zbliżam się do szybko płynącej rzeczki, w której głębi śpi dalej rusałka... Wodospad Le Saut de l'Ognon w Servance jest dzisiaj bardziej niż kiedyś burzliwy...

Jak ty to wszystko zniesiesz? Zapewniałeś, że zawsze będziesz marzyć o nieskalanych przestrzeniach, o ogniskach płonących pod zimnym, rozgwieżdżonym niebem, wokół których wszyscy się zbierają? W Krainie Wielkich Jezior, ukryty pomiędzy świerkami i brzożami... A co byś powiedział o zaimprovizowanej piosence, której refren brzmi tak:

Piękne lato bez ciebie, to jak noc bez ogniska...

Nie, ty wolisz czytać w swoim ulubionym miejscu modną teraz powieść, której bohater, wiecznie pijany, błąka się od stacji do stacji.

Widzę suchą łodyżkę paproci, piórko zięby, gąbczastą ziemię

wydzielającą opary, które mieszają się z wianami białego tytoniu. Subtelny krajobraz Plateau d'Esmoulières o poranku. Słyszysz śpiew kosa...

Jesteś w Giżycku, masz tu zapewnione sporty wodne, pływalnię, wypożyczalnię rowerów, uroki fitness, spotkania z historią. Zamek z XIV stulecia, wały obronne z XIX, zwiedzanie jest męczące. Festiwale i koncerty, szanty, festiwal piosenki „Ukleja”, a to wszystko dla Nelly... Kościół ewangelicki, regaty na jeziorze, rezerwacja doradzana, Gierłoż-Wilczy Szaniec-Wolfsschanze, koniecznie trzeba zobaczyć kwaterę główną Hitlera. Dwieście pięćdziesiąt hektarów, dwieście budynków, które mogły pomieścić dwa tysiące osób, a w XXI w. corocznie odwiedza to miejsce dwieście tysięcy turystów, którzy chcą zobaczyć, a właściwie co?

I ty to wszystko zniosłeś? Wszechwładna zieleń i nienasycone lato przekształcają to nadjeziorne miasto z kresów świata w oazę zamieszkałą przez nowobogackich, która zawsze jest zatłoczona. A niebo i jeziora tak rozpaczliwie błękitne! Tak jak cię znam, to wolałbyś nie wychodzić z domu, wolałbyś malować portrety z wyobraźni, spokojnie oczekując na nadejście jesieni. Wyłuskujesz duże nasiona słonecznika i je rozgryzasz, siedząc u stóp łodzi, a turyści biorą cię za hinduistycznego ascetę, ponieważ masz minę jak ktoś, kto wyrzekł się świata. Godziny płyną, a Nella zaafetowana mówi albo milczy, albo pod twoim nosem pisze na piasku słowa niewinne i absurdalne, do których odwołują się czasami dziewczęta:

Cieszmy się życiem, korzystajmy z chwili!

Zaledwie za kilka dni umrze lato. Zmierzch zapadnie wcześniej i fale staną się czarne. Nie będzie już nikogo na statkach pływających po rybnych jeziorach, a ty sam udawać będziesz, że czekasz na mnie w Paryżu, ponieważ chłód, jak sam mówisz o obcych ludziach w takich sytuacjach, zniechęca do wypraw.

Tłumaczenie z j. francuskiego
Kazimierz Brakoniecki

Michał Pawlak

Szaleństwo Foucault

Napişmy własną *Historię szaleństwa*
Foucault nie będzie zły.
Przecież nie lubił tej fuchy.
Nie wspomniał o niej.
Nasz racjonalizm zbiłby go z pantałyku.
Pantałyk to przeżytek.
Zakażony dotyk i empiryzm wydają się synonimami.
Zapytajmy Foucault.
Nie będzie zły.

Aleksandra Tchórzewska

wirowanie

znów krzyżują się nasze
nogi we wstecznym lusterku
mam usta zajęte
szminką kręcisz mi się
w głowie więc zwolnij
guzik po guziku

wyjedźmy w końcu za granice
marynarki i mankietu
chcę dziś kierować
ręką w ślepych uliczkach
czuć jak
puszczają ci hamulce

Krzystian Trzaskowski

Sam na sam

Sam na sam ze światem
Staram się znaleźć
Szczęścia szczątki w nerwach
Rzucają kolory na myśli
Jak wyblakłe kławy
Wydłubać spod zęba
Kiedy wykałaczką
Odmawia posłuszeństwa
Na dobre blokując przepływy
Najbardziej pożądaných
Dóbr doczesnych

Walt Whitman

Pomyśleć o czasie

przekłożył Krzysztof D. Szatrawski

1.
Pomyśleć o czasie — o wszystkich przypomnieniach,
Pomyśleć o dniu dzisiejszym, o wiekach
zaczynających się teraz.

Czy odgadłeś, że ty sam trwać nie będziesz?
Czy przeraża cię robactwo pod ziemią?
Czy obawiasz się, że przyszłość będzie dla ciebie nicością?

A czy dzień dzisiejszy jest nicością? A pozbawiona początku
przeszłość jest nicością?
Jeśli przyszłość jest niczym, to z pewnością i one są niczym.

Pomyśleć, że słońce weszło na wschodzie — że mężczyźni
i kobiety gibkie, realne, żywe — że wszystko było żywe,
Pomyśleć, że ty i ja nie zauważyliśmy, nie poczuli, nie myśleli,
ani nie dźwignęli naszych obowiązków.
Pomyśleć, że oto tu jesteśmy i dźwigamy nasze obowiązki.

2.
Nie mija dzień, ani minuta czy sekunda bez narodzin,
Nie mija dzień, ani minuta czy sekunda bez trupa.

Noce nudne mijają i dni nudne podobnie,
Ból od zbyt długiego w łóżku leżenia już mija
Lekarz najpierw długo się wahał, teraz milczy
i zamiast odpowiedzieć, spogląda przerażony,
Dzieci przychodzą śpiesznie, ze szlochaniem,
posyła się braci i siostry,
Nieużywane lekarstwa stoją na półce (zapach kamfory
głęboko przesiąknął pokoje),
Wierna dłoń żywych nie opuszcza dłoni konającego,
Spierzchnię usta odciskają się lekko na czole konającego,
Oddech zamiera i bicie serca zamiera,
Rozciąga się trup na posłaniu i żywi spoglądają na niego,
Jego obecność jest wyczuwalna i obecność żywych jest
wyczuwalna.

Żywi spoglądają na trupa swoimi oczami,
Ale jest jeszcze inne życie, które nie ma oczu, ale z zaintere-
sowaniem spogląda na trupa.

3.
Pomyśleć, że myśl o śmierci zespoliła się z myślą o materii,
Pomyśleć, że rzeki będą płynąć, śnieg padać, że owoce będą
dojrzewać i działać na innych jak na nas teraz —
jeszcze nie działa na nas!

Pomyśleć o wszystkich cudach miast i wsi, o innych tak żywo
nimi zainteresowanych, chociaż my nie jesteśmy nimi
zainteresowani.

Pomyśleć, jak chętnie wnosimy nasze domy.
Pomyśleć, że inni będą wznosić domy tak samo chętnie,
a my będziemy zupełnie obojętni.

(Widzę, jak ktoś buduje dom, który służy mu kilka lat,
może siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat najwyżej,
Widzę, jak ktoś buduje dom, który służy mu jeszcze dłużej).

Powolnym krokiem, czarne kondukty przemierzają
całą ziemię — nigdy nie przestają —
to kondukty pogrzebowe,
Ten, kto był Prezydentem, został pogrzebany, ten, kto jest
Prezydentem, z pewnością będzie pogrzebany.

4.
Wspomnienie pospolitego losu,
Jedna z wielu historii o życiu i śmierci robotnika
I jak każda, jedyna w swoim rodzaju.

Zimna linia fal na nabrzeżu promowym, mieniący się lód na
rzece, na pół zamarznięte błoto na ulicach,
Szare zniechęcające niebo nad głową,
ostatnie światło grudniowego dnia,
Karawan i powozy, pogrzeb starego woźnicy z Broadwayu,
kondukt w większości składa się z woźniców.

Stępa na cmentarz, gra monotony śmierci dzwon,
Za bramą, nad świeżo wykopanym grobem zatrzymują się,
żywi wysiadają, karawan się otwiera,
Trumna zostaje przejęta, opuszczona i ustawiona, bat leży na
wieku, ziemię się śpiesznie szufluje.
Kopczyk z wierzchu wyrównany łopatami — cisza,



Minuta — nikt nie rozmawia, ani drgnie — zrobione,
Został przyzwoicie pochowany — cóż jeszcze pozostaje?

Był dobrym człowiekiem, wygadany, porywczym,
dość przystojnym,
W przyjaźni wierny na śmierć i życie, lubił kobiety, hazard,
jadł szczerze, pił szczerze,
Poznał, jak to jest być spłukanym, w smutku dokonał żywota,
schorowany, wspierany ze składek,
Zmarł w wieku lat czterdziestu jeden — a to był jego pogrzeb.
Kciuk wyciągnięty, palec w górze, fartuch, peleryna,
rękawice, pas, ubrania przeciwdeszczowe,
bat dobrze dobrany,
Szef, obserwator, starter, stajenny, ktoś czeka na ciebie,
ty czekasz na kogoś, trotuar,
człowiek przed i człowiek za,
Dni udane, dni pod psem, dobry fracht, podły fracht,
pierwszy wydany, ostatni wydany, nocne powroty,
I pomyśleć, że to wszystko tak ważne dla innych woźniców,
dla tego tutaj nie ma już najmniejszego znaczenia.

5.
Rynki, rząd, pensje pracowników, pomyśleć, przez jakie
rachunki przechodzą nasze dni i noce,
Pomyśleć, że inni pracownicy zapracują na tak wysoką kwotę,
że nasz rachunek będzie mały
lub całkiem bez wartości.

Ordynarny i wyrafinowany, co nazywasz grzechem,
a co dobrocią, pomyśleć, jak szeroka to różnica,
Pomyśleć, że różnica będzie obowiązywać innych,
my jednak znajdujemy się poza jej zakresem.

Pomyśleć, jak wiele jest przyjemności,
Dobrze bawisz się w mieście?
Albo zająłeś się biznesem?
Albo planujesz kandydować i być wybranym?
Albo spędzasz czas z żoną i rodziną?
Albo ze swą matką i siostrami? Albo na kobiecych pracach
w domu? Albo na pięknej macierzyńskiej opiece?
Te również odpływają ku innym, ty i ja odpływamy,
A w swoim czasie, ty i ja stracimy zainteresowanie nimi.

Twoja farma, zyski, plony — pomyśleć, jak cię to pochłania,
Pomyśleć, że wciąż będą farmy, zyski, plony, jednak
dla ciebie, jaki z nich pożytek?

6.
Co będzie, to będzie dobre, tak jak to, co jest, jest dobre,
Osiągnięcie zysku jest dobre, a nie osiągnięcie zysku
okaże się dobre.

Domowe radości, mitręga gospodarskich obowiązków
czy biznes, budowa domów to nie przywidzenia,
mają swoją wagę, formę, położenie,

Farmy, zyski, plony, rynki, płace, władze,
nic z nich nie jest przywidzeniem,
Różnica pomiędzy grzechem i dobrocią nie jest ułudą,
Ziemia nie jest tylko odbiciem, człowiek, jego życie
i wszystkie sprawy jego życia są dobrze przemyślane.

Nie jesteś rzucony na wiatr, zbierasz się pewnie
i bezpiecznie wokół centrum, którym jesteś ty sam,
Ty sam! Ty sam! Ty sam na zawsze i zawsze!

7.
Nie po to, by się rozproszyć, zrodziłeś się ze swej matki i ojca,
lecz aby się utożsamić,
Nie w tym rzecz, abyś był niezdecydowany, lecz w tym,
że powinieneś być zdecydowany,
Coś od dawna przygotowane i bezkształtne, przybyło
i uformowało się w tobie,
Odtąd jesteś bezpieczny, cokolwiek zyskasz lub stracisz.
Nici zostały uprzedzone i zgromadzone, wątek krzyżuje się
z osnową, wzór jest regularny.

Przygotowania, krok po kroku, były uzasadnione,
Orkiestra odpowiednio nastroiła instrumenty,
batuta dała znak.

Gość, który nadchodził, który długo zwlekał, jest już przyjęty,
Jest jednym z tych, co piękni i szczęśliwi, jest jednym z tych,
na których spoglądać wystarczy i z nimi być.

Prawa przeszłości nie mogą być uchylone,
Prawa obecne i przyszłe nie mogą być uchylone,
Prawa żywych nie mogą być uchylone, są wieczne,
Prawa postępu i zmian nie mogą być uchylone,
Prawa bohaterów i dobroczyńców nie mogą być uchylone,
Prawa pijaków, donosicieli i ludzi podłych także ani na jotę
nie mogą być uchylone.

8.
Powolnym krokiem, czarne kondukty nieprzerwanie
przemierzają ziemię,
Niesieni są ludzie Północy i niesieni są ludzie Południa,
ci znad Atlantyku, i ci znad Pacyfiku,
I ci spomiędzy, i wszyscy z krainy Mississipi, i z całej ziemi.

Dobrze się z tym czują wielcy mistrzowie i kosmos,
dobrze się czują bohaterowie i dobroczyńcy,
Znani przywódcy i wynalazcy, i bogaci właściciele, i pobożni,
i namaszczeni mogą się dobrze czuć.
Ale trzeba liczyć więcej, uczciwy rachunek nie pomija nikogo.

Nieskończonych hord ignorantów i dzikusów
też nie można zlekceważyć,

Barbarzyńców Afryki i Azji nie można zlekceważyć,
Nieustającego następstwa ludzi powierzchownych nie można
lekceważyć, kiedy odchodzą.

Ze wszystkich tych rzeczy,
Wyśniłem, że nie musimy zmieniać się tak bardzo,
ani też prawo nad nami się nie zmienia,
Wyśniłem, że bohaterowie i dobroczyńcy powinni podlegać
obecnym i przeszłym prawom,
I mordercy, pijacy, kłamcy powinni podlegać obecnym
i przeszłym prawom,
Wyśniłem bowiem, że prawo, któremu podlegają,
jest wystarczające.

I wyśniłem, że celem i istotą znanego nam życia
jest przemiana,
Jest formowanie i nadawanie tożsamości nieznanemu
trwałemu życiu.

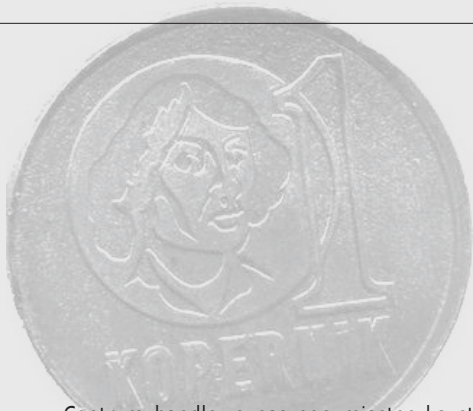
Jeśli wszystko sprowadza się do prochu i łajna,
Jeśli robactwo i szczury miałyby dokończyć nasze życie,
wówczas Gore! zostaliśmy zdradzeni,
I w rzeczy samej pozostaje tylko śmierć.
Oczekujesz śmierci? Gdybym miał spodziewać się śmierci,
Myślisz, że tak spokojnie i godnie mógłbym kroczyć ku
unicestwieniu?

A spokojnie i godnie kroczę,
Kierunku nie umiem określić, ale wiem, że jest właściwy,
Cały wszechświat wskazuje, że jest właściwy,
Przeszłość i teraźniejszość wskazują, że jest właściwy.

Jak piękne i doskonałe są zwierzęta!
Jak doskonała ziemia i najmniejsza rzecz na niej!
Co nazywamy dobrym, jest doskonałe, a co nazywamy złym,
jest równie doskonałe,
Warzywa i minerały są doskonałe, i nieuchwytnie płyny są
doskonałe;
Powoli i pewnie zmierzały do tej chwili, a teraz powoli
i pewnie odchodzą.

9.
Przysięgam, teraz myślę, że każda rzecz bez wyjątku posiada
nieśmiertelną duszę!
Mają ją drzewa wrosnięte w ziemię, wodorosty w morzu
mają, zwierzęta!

Przysięgam, myślę, że nie ma nic poza nieśmiertelnością!
Że po to jest ten doskonały zamysł, i po to jest płynność
mgławic, i spójność jest po to!
I po to jest wszystko przygotowane — i po to jest tożsamość
— i życie jest wyłącznie po to, i wszelka materia!



Moja Młyńska

Część II: Zakupy

Centrum handlowe naszego miasteczka stanowił rynek, czyli plac Mickiewicza, gdzie znajdowała się większość sklepów. Z Młyńskiej było tam blisko, bo rynek znajdował się tuż za rogiem, więc dziecięce zabawy często były przerywane wołaniem mam, które wysyłały swe pociechy po najpotrzebniejsze sprawunki. W okresie przedświątecznym lub w soboty „nasilenie zakupowe” osiągało największą częstotliwość. Wtedy gospodynie najwięcej piekły, gotowały i sprzątały. Były bardzo zajęte, więc nie miały czasu, aby biegać po potrzebne im produkty, których akurat zabrakło w domu. Z usług biegających po ulicy dzieci korzystały również sąsiadki, które nie miały możliwości wysłania własnych latorośli do sklepu z tej prostej przyczyny, że albo ich dzieci już nie mieszkaly z nimi, albo były jeszcze zbyt małe, aby wysyłać je po zakupy, albo po prostu dzieci nie miały. Wysłany po zakupy nie narzekał, bo zwykle za usługę otrzymywał od sąsiadki coś w rodzaju napiwku, czyli jakąś niewielką sumkę pieniędzy, która starczała na przykład na loda.

O właśnie, lody – jedna z najprzyjemniejszych rzeczy w dzieciństwie! Większość dzieciaków na Młyńskiej marzyła, że, jak dorośnie, będzie sprzedawać lody, bo wtedy dopiero będzie można nasycić się nimi do woli. Pierwsze lody były sprzedawane w prywatnej kawiarni na rynku. Oprócz lodów można tam było kupić wspaniałe ciastka. Dzieci rzadko korzystały z takich rarytasów z tej prostej przyczyny, że po prostu nie było ich na to stać. Czasami w niedzielę lub inne święto dostawały trochę pieniędzy i kupowały wtedy ptysia, albo ciastko z galaretką czy tortowe. Lody pojawiały się zwykle 1 Maja. Był to także dzień, w którym dziewczynki po raz pierwszy zakładały podkolanówki. Mała porcja lodów, czyli jedna gałka na wafelku przykryta drugim wafelkiem, kosztowała 1 zł 20 gr, więc tyle udawało się od rodziców wyciągnąć. Otrzymanie loda wymagało jednak trochę wysiłku, bo w kawiarni były duże kolejki. Najgorzej było, gdy wyczerpał się zapas z jednego termosu i trzeba było czekać na przyniesienie drugiego. Trochę to trwało, bo lody produkowano na Młyńskiej, więc przyniesienie nowego termosu na rynek zajmowało kilka minut. Zawsze były to lody o smaku śmietankowym, a nakładanie ich specjalną łyżką przez obsługującą panią wydawało się bajecznym rytuałem. Gdy kończyło się lato, dobiegało też końca sprzedawanie lodów, a zaczynała się era innych słodyczy. Dzieciom wystarczały wtedy: lizaki, dropsy, piernikowe katarzynki, herbatniki czy najtańsze suchary. Rzadko jadało się wyroby czekoladowe, bo były zbyt wykwintne i za drogie na co dzień. Bardzo popularne były: wafle przekładane, czyli tzw. andruty, galaretka w kolorowe paski, cukierki iryski lub toffi oraz groszki owocowe lub w polewie czekoladowej, w okrągłych pudełeczkach z dziurką, przez którą „pobierało się” cukierka wprost do buzi. Rarytasem była również

oranżada, koniecznie czerwona, w butelkach ze specjalnym kapslem, a nieco później – torebki z musującymi oranżadkami w proszku.

Starsze towarzystwo bywało w kawiarniach lub restauracjach. W latach sześćdziesiątych najbardziej popularną była „Tęcza”, przemianowana później na „Kaprys”. Panowie wpadali tam na „setkę z zakąską”, panie na spotkania przy lodach. Można tam było zjeść przyzwoity obiad, a nawet potańczyć, bo – o ile mnie pamięć nie myli – odbywały się tam dancingi. Niestety czasy te należą już do przeszłości, ponieważ restauracja od wielu lat już nie istnieje, a na jej miejscu pojawił się sklep, którego branża była już kilkakrotnie zmieniana. Druga bardzo znana i chętnie uczęszczana restauracja to „Wkra”, która istnieje do dziś i ma się całkiem dobrze. Mieści się tam również hotel. Na szczególną uwagę we „Wkrze” zasługuje wystrój sali z balkonem dla orkiestry. Odbywały się tam kiedyś koncerty, a do dziś urządzone są bale i przyjęcia.

Na kawę lub herbatę z ciastkiem chodziło się do prywatnej kawiarni – wspomnianego już miejsca, gdzie kupowaliśmy lody. Tam, siedząc przy zwyczajnym okrągłym drewnianym stoliku na skrzypiącym, również drewnianym krześle, piło się herbatę lub kawę ze szklanki i zjadało pyszny sernik lub szarlotkę.

Czasy na dawnej Młyńskiej to okres, kiedy kupowało się mleko „prosto od krowy”, czyli od gospodarzy. Zwykle wieczorem najmłodsza „ofiara” z rodziny była wysyłana z kanką do niedalekich gospodarstw. Często były to wyprawy w towarzystwie, można powiedzieć, ulicznym, czyli przyjaciół z sąsiedztwa, co niestety skutkowało wieloma nieprzewidywalnymi zdarzeniami. Na przykład po drodze rozgrywało się zawody polegające na tym, kto najwięcej razy zakręci dookoła kanką tak szybko, aby nie zdążyły wypaść włożone do niej pieniądze. Pomysł rewelacyjny – brudne pieniądze w kance, a później w niej mleko! Natomiast w drodze powrotnej robiło się to samo, tylko z mlekiem wlanym do kanki. Czasami się udawało, ale często kończyło się to stratą pieniędzy albo wylaniem mleka. Oczywiście rodzice nawet nie przeczuwali, co działo się podczas tych wypraw i spokojnie serwowali swoim latoroślom mleko, które czasami po wielu nieprzewidzianych przypadkach docierało do domów.

W świeże jarzyny i owoce większość mieszkańców miasta zaopatrywała się na targu. Mieszkańcy Młyńskiej byli w dobrej sytuacji, bo tak zwany kurzy targ był blisko. Przyjeżdżali tam furmankami gospodarze z okolicznych wsi i można było kupić od nich nie tylko owoce i warzywa, ale również drób, jajka i nabiół oraz kwiaty. Osoby mieszkające tuż przy targu wspominają, że rankiem we wtorki i piątki budziło je gdakanie kur i wołanie gospodyń: „Jajka, świeże jajka!”. Wspomnienie

o dawnym targu na długo pozostało w pamięci mieszkańców miasta. Do dziś pamiętam zapach świeżych warzyw i owoców na targu, które aż prosiły, żeby je kupić. Tak pięknie wyglądały! Nie były specjalnie drogie i porównując to, co obecnie serwuje się nam na bazarach, żal, że klimat tamtych zakupów i ich jakość, już nie powrócą. W piątki na targu kupowało się zwykle kurę lub kaczkę na niedzielne obiady. Zapach domowego rosółu każdej niedzieli rozchodził się po całej Młyńskiej, bo było to standardowe świąteczne danie.



Pamiątkowa moneta bita w Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie

Innym, trochę szarym obrazem zakupów tamtych lat były sklepy odzieżowe. W rzadko którym można było znaleźć coś niebanalnego, eleganckiego, nie mówiąc już modnego. Ubrania były raczej standardowe, w burawych albo jaskrawych kolorach, czasami nawet przykurzone, bo długo wisały na wieszakach. Oczywiście zdarzały się też eleganckie i modne rzeczy, ale trzeba było dużo cierpliwości, aby je wypatrzeć, chyba że dostawało się je „po znajomości”, czy – jak się inaczej określało – „spod lady”. Na szczęście funkcjonowało wtedy znacznie więcej sklepów z tkaninami i istniała „instytucja” krawcowej, dlatego w czasach szarego PRL-u, dzięki swej pomysłowości, zaradne obywatelki naszego miasta nie musiały się martwić tym, że odstają od trendów europejskich.

Równie siermiężnie wyglądało zaopatrzenie w artykuły szkolne. Zwykle w ostatnich dniach wakacji przed sklepem papierniczym albo księgarnią stały długie kolejki dzieci i rodziców. O kolorowych zeszytach, piórnikach czy ołówkach można było tylko pomarzyć. Na szczęście dzieci nie miały świadomości, że i szkolna rzeczywistość może wyglądać kolorowo, więc nie miały pretensji. Kolorystyka zeszytów szkolnych nie wykraczała poza szare, beżowe lub wyblakloniebieskie. Na końcowej okładce niektórych była ściągą z tabliczki mnożenia. Zeszyty i podręczniki szkolne każdy uczeń obkładał, żeby się nie zniszczyły. Nie było wtedy plastikowych obwolot, więc każdy musiał sam ochronić swoją wyprawkę szkolną papierem, który też był szary albo beżowy. Na każdy obłożony zeszyt czy książkę naklejało się specjalną naklejkę, na której wpisywało się imię i nazwisko właściciela. W przeciągu roku szkolnego okładki się niszczyły, więc należało obłożyć książki ponownie. Nie każdy to potrafił i często trzeba było korzystać z pomocy rodziców czy starszego rodzeństwa. Uczniowie nie posiadali również takiej możliwości wyboru piórników jak obecnie.

Najczęściej używano piórników drewnianych, które miały kształt prostokątnego pudełka z przegródkami przykrywanego wieckiem lub zasuwanego cienką sklejką. Często owe piórniki miały inne, nieco gorsze przeznaczenie. Gdy uczeń spóźnił się na lekcję albo coś przeskrobał, dostawał nim „łapę” za karę.

Odrębnym zagadnieniem handlowym był sektor prywatny, na który w naszym miasteczku składały się trzy sklepy, gdzie można było zaopatrzyć się we wszystko, czego brakowało w sklepach państwowych. Jak łatwo się domyślić, z Młyńskiej nie było do nich daleko, bo znajdowały się przy rynku. Jakie wspaniałe towary można było tam zakupić! Przede wszystkim biżuteria – dziecięca i nie tylko. Błyszczące pierścionki z kolorowymi oczkami udającymi szlachetne klejnoty, korale rozmaitej długości – złote i srebrne albo w innym kolorze, do tego różne bransolety. Popularnością cieszyły się bluzki damskie, o modnych wtedy, jaskrawych kolorach oraz paski do spodni z klamrą w postaci głowy lub rogów jelenia. Szczególnie panowie lubowali się w tego typu dodatkach. Gdy do tego założyli spodnie dzwony, kurtkę szwedkę, a za wspomniany pasek zatknęli grzebień, rzadko która niewiasta mogła oprzeć się ich urokowi! Młodzian zyskiwał jeszcze na wartości, gdy był wyposażony w radio tranzystorowe, które dziarsko dzierzył w dłoni. Wtedy śmiało mógł prosić każdą dziewczynę na spacer.

Oceniając z perspektywy sytuację handlową w naszym mieście, trzeba przyznać, że asortyment działdowskich sklepów prywatnych nadawał jej koloru. Sklepy te były namiastką czegoś lepszego, bardziej kolorowego, co ważne wtedy – często pochodzenia zagranicznego. To tam można było kupić pierwsze koszule *non iron*, elastyczne rajstopy, słynne płaszcze ortalionowe, pocztówki dźwiękowe z zagranicznymi przebojami. Przed wystawami tłoczyły się dzieci oglądające lalki z zamkniętymi oczami, kolejki elektryczne czy inne nakręcane zabawki, które trudno było dostać w zwyczajnym sklepie PRL-u. Wyjątkiem był komis, gdzie znajdowały się towary z zagranicy. Obsługa w sklepach prywatnych bardzo różniła się od typowych sklepów na rynku. Do każdego klienta odnoszono się w grzeczny i kulturalny sposób. Nie traktowano go nachalnie, poświęcano mu dostateczną ilość czasu i udzielano wyczerpujących wskazówek oraz porad. Już sama sylwetka sprzedającego, jego stosowny strój, sposób wystawiania się zachęcały do wstąpienia do sklepu. Daleko by tu szukać typowego sklepowego uniformu, czyli fartucha, makijażu w postaci grubo nałożonego błękitnego cienia na powieki, czy tzw. zdrowotnego obuwia, co było nieodłącznym atrybutem sprzedawczynie w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Nie mówiąc także o tym, że w sklepach prywatnych nigdy nie spotykało się wywieszki z hasłem „REMANENT” czy „PRZYJĘCIE TOWARU”.

Przy sektorze prywatnym warto także wspomnieć o usługach. W starej części miasta rozpościerały się prywatne warsztaty usługowe, bez których trudno byłoby sobie poradzić w codziennej egzystencji. Weźmy pod lupę choćby buty. Naprawa, zelowanie i tym podobne zabiegi szewskie oferował znany w całym mieście szewc na Młyńskiej,

który w letnie popołudnia wystawiał cały swój warsztat na chodniku przed domem i tam reperował buty. W pamięci mieszkańców Młyńskiej na długo pozostanie charakterystyczna sylwetka siedzącego na krześle mężczyzny, którego kolana przykrywał wielki skórzany fartuch i leżące przed nim, pośród sterty rozmaitych pantofli damskich i męskich, narzędzia szewskie. Na rynku, na rogu Placu Mickiewicza i ulicy Poprzecznej, był drugi zakład szewski, w którym nie reperowano butów, ale je szyto. Szczytem damskiej elegancji były czarne, zamszowe pantofle na korkowym koturnie. Miejscowe elegantki wspominały, że buty były równie piękne, co niewygodne, ale czego się nie robi, aby zadać sztyku!

Na Bielnikowej, po drodze na łąki, mieszkała krawcowa, do której o każdej porze ciągnęły tłumy pań żądnych nowych kreacji.

Tuż obok szewca na Młyńskiej miał swój zakład krawiec męski. Tam panowie zamawiali garnitury czy płaszcze, ale wydaje mi się, że krawiec szył także wierzchnie okrycia dla pań.

Po obu stronach rynku – po jednej, z lewej strony Placu Mickiewicza i po drugiej, na ulicy Górnej – znajdowały się zakłady fryzjerskie, skąd dobiegał zapach wody po goleniu i płynu do trwałej ondulacji. Na krzesłach, pod wielkimi suszarkami, siedziały klientki z nawiniętymi na włosy wałkami. Swoim wyglądem przywodziły na myśl kosmiczne postacie. Od czasu do czasu można było posłuchać kłótni, gdy któraś z pań pomstowała, że spalono jej włosy lub że fryzura nie była zgodna z oczekiwaniami.

Jeżeli już jesteśmy przy głowie, warto wspomnieć o stosownych dla niej nakryciach, czyli kapeluszach. Wśród wielu punktów usługowych zlokalizowanych w okolicach Młyńskiej znajdowała się również pracownia miejscowej kapeluszniczki. Było to na ulicy Katarzyny. Pracownia łączyła się ze sklepem, w którym każda amatorka tych części garderoby mogła nabyć najrozmaitsze ich fasony. Na witrynie pyszniły się letnie nakrycia głowy ze słomki, płótna czy rypsu, kapelusze na jesień, wiosnę czy zimę, filcowe, pilśniowe, a nawet zamszowe. Jedne bardziej strojne i wytworne, inne klasyczne czy wręcz proste, wśród nich toczki, berety – słowem na każdą okazję. Właścicielka pracowni i jednocześnie producentka owych wyrobów nie mogła narzekać na brak klientek. Panie chętnie odwiedzały sklep i zaopatrywały się tam w kapelusze, które były wówczas bardzo modne. Każda z nich posiadała ich kilka na różne okazje. Największy ruch w sklepie był jesienią, szczególnie przed Świętem Zmarłych. Do dobrego tonu należało pokazać się na cmentarzu w nowym nakryciu głowy i do tego najlepiej w futrze, bo wtedy zaczynały się przymrozki.

Jednym z produktów, który pojawił się w naszym mieście w latach sześćdziesiątych i przybliżył nas do tzw. wielkiego świata, była woda sodowa i, co za tym idzie, potrzebne do niej naczynie, czyli syfon. Najpierw były to pojemniki przezroczyste, szklane, które służyły do wielokrotnego użytku. Tzw. nabijania syfonów, czyli napełniania ich wodą z gazem, dokonywano w specjalnych punktach usługowych. Jeden z nich, a może nawet jedyne, znajdował się na ulicy Katarzyny, gdzie często rodzice wysyłali swe pociechy z pustymi syfonami. Jaką wielką frajdą były powroty do domu z nabitym syfonem,

którego zawartość podpijało się po drodze, aż gaz szedł nosem i uszami! Później nadeszła era kolorowych syfonów metalowych z jednorazowymi nabojami i skończyły się wycieczki po wodę sodową. Wkrótce pojawił się nowy wynalazek do wody: saturator – dwukołowy pojazd do produkcji i sprzedaży wody sodowej. Serwowano z niego wodę z bąbelkami, z sokiem lub bez. W każdy upalny dzień gromadziło się przy nim wielu spragnionych. Najczęściej obsługiwany był przez osobę w średnim wieku, kobietę lub mężczyznę, niemal zawsze w białym fartuchu i czepku na głowie. Niewielu osobom przeszkadzał fakt, że wodę pito z jednej, niekoniecznie dobrze umytej szklanki, stąd woda zyskała miano „gruźliczanki”. Szczególnie dzieci były wielbicielami tego napitku i często prosiły rodziców o pieniądze na wodę z sokiem, która miała dla nich wtedy niezapomniany smak.

Mimo niewystarczającego zaopatrzenia w sklepach oraz niewielkich zasobów finansowych mieszkańcy Młyńskiej i podobnych jej ulic byli na co dzień zadowoleni. Natomiast gdy chciało się czymś błysnąć, zaskoczyć oryginalnością lub podążać za najnowszymi trendami mody, pozostawały wyjazdy do większych miast. Tam można było zrobić zakupy w Pewexach. Były to sklepy, gdzie za dolary lub bony nabywano się zachodnie ubrania, żywność, papierosy, alkohol, a nawet zabawki. Jednak niewiele osób z Młyńskiej było na to wtedy stać.

Iwona Bolińska-Walendzik

W jak...

W jak wieczór spędzony na tarasie w Purdzie

Spoglądałam w niebo, szukałam życzeń, które mogłyby się spełnić. Spóźniłam się o dwa dni. Wtedy można było mieć nawet sześćdziesiąt życzeń na godzinę – tyle podobno spadających gwiazd roi się w okolicach gwiazdozbioru Perseusza w połowie sierpnia od co najmniej dwóch tysięcy lat.

Przepis na spełnianie życzeń

Należy:

- znaleźć odpowiednie miejsce, bez lamp bijących elektryczną mocą w przestrzeń kosmiczną,
- usiąść w wygodnym fotelu plażowym albo położyć się w hamaku, żeby głowa nie odpadła w czasie wpatrywania się w niebo,
- rozpuścić chmury, które też mają życzenia i wchodzą w paradę,
- zastygnąć w oczekiwaniu,
- przede wszystkim być szybkim.

Przepis był dobry. Znalazłam dwa życzenia jedno w okolicach Perseusza, drugie – Wielkiego Wozu.

GWIAZDA

Heretyk to osoba, która – choć należy do ruchu religijnego – to kwestionuje niektóre dogmaty wiary. Można rozszerzyć tę definicję: jest to ktoś, kto w sposobie myślenia i oceniania odbiega od powszechnych opinii lub ideologii podzielanych przez grupę, do której należy. (...)

„Heretyckość” Gwiazdy nie zamyka się w „gramatyce” przez niego używanej, ale w ciągłej negacji jego punktów odniesienia. Każda z jego rzeźb nawiązuje do jakiejś historycznej stylistyki, tak jakby były one wryte w świadomości artysty. Jednak same szczegóły prac wskazują na inne punkty odniesienia, które zaprzeczają i kwestionują te wcześniejsze. Każda z rzeźb Gwiazdy jest obiektem opisującym przejście z jednego rodzaju ikonografii w inny, z jednego stylu w drugi, z jednego medium artystycznego w inne.

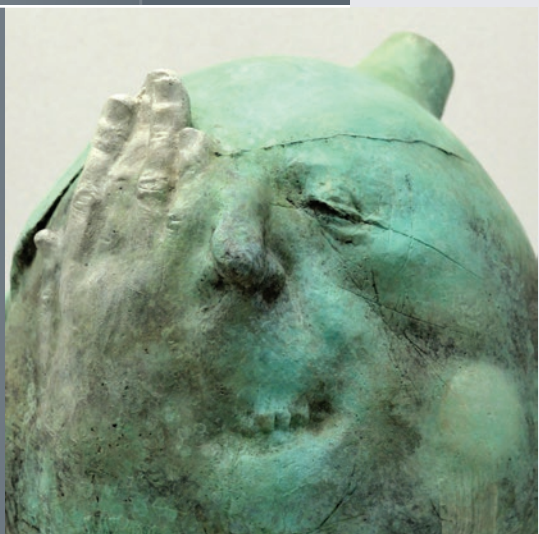
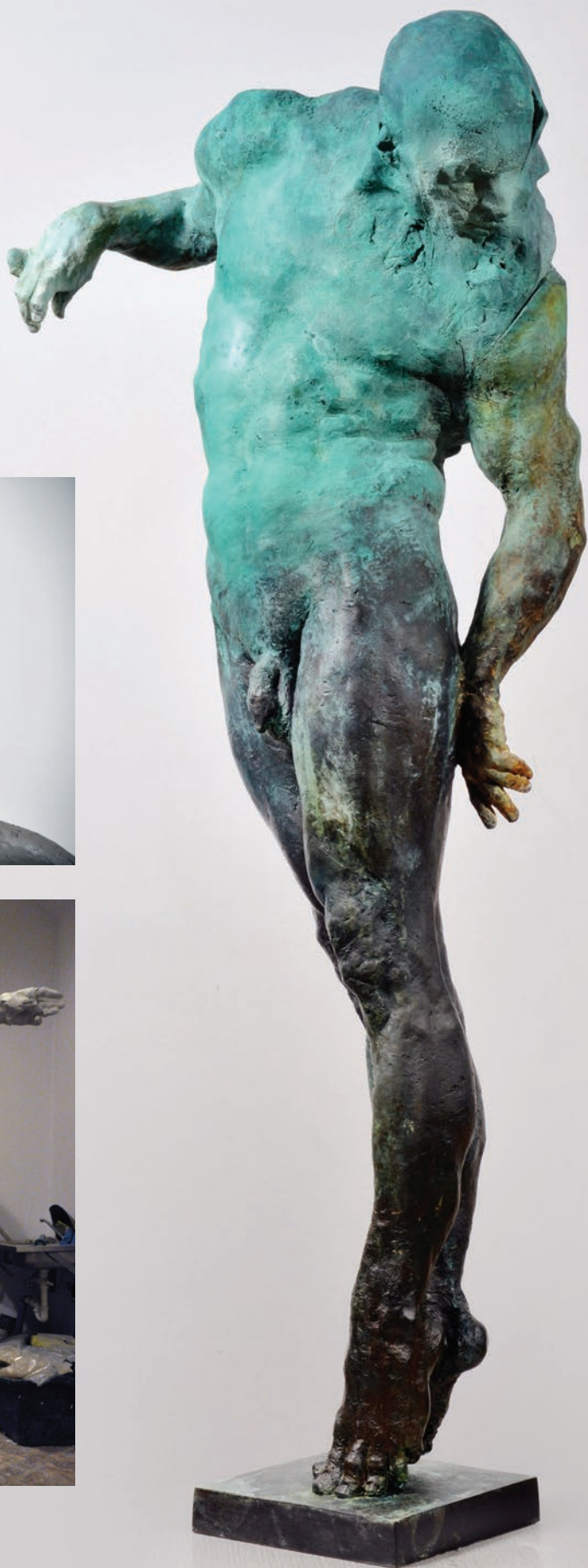
Gwiazda heretyk (fragment), Marco Izzolino



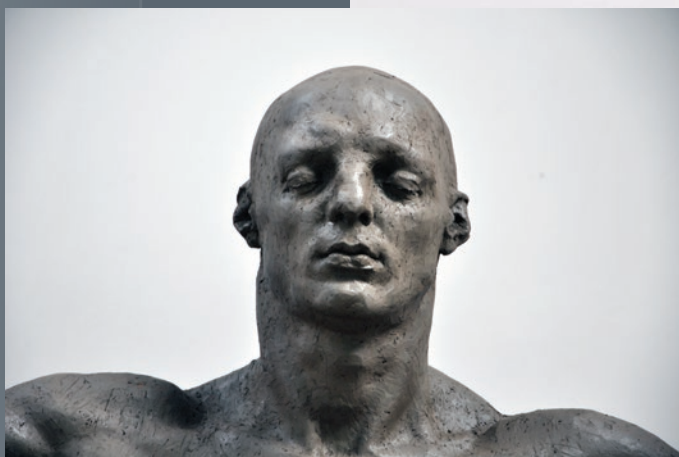
Aktor (2015)



Rowerek (2014)



Alchemik (2012)



Pomazaniec (2013, fragment)



Pomazaniec (2013, fragment)

Edward Cyfus

Moje reminiscencje historyczne

Temat, który chcę tu opisać, intrygował i denerwował mnie już od najmłodszych lat. W szkole podstawowej na lekcjach historii uczyliśmy się o przeszłości Polski i poszczególnych jej regionów. Na żadnej lekcji nie wspomniano nawet o dziejach Warmii i Mazur. Pamiętam, że zapytałem w szóstej klasie nauczyciela historii, czy na naszych terenach nie wydarzyło się w przeszłości nic godnego uwagi oprócz bitwy pod Grunwaldem. Każda ziemia ma przecież swoją historię, dodałem. Odpowiedź była porażająca: „To jest szwabska historia i my się jej uczyć nie będziemy!”. Pamiętam, że złościło mnie to przez dłuższy czas, bo sądziłem już wtedy, że o przeszłości ziemi, na której się żyje, powinno się wiedzieć jak najwięcej, jeśli nie wszystko. Że nie jesteśmy w stanie ingerować w przeszłość, nie da się jej zmienić, a przemilczać i przekłamywać historię to grzech w stosunku do przyszłych pokoleń i w ogóle najcięższy, to już wtedy wiedziałem.

Jakiś czas potem zadałem temu samemu nauczycielowi kolejne, jak się okazało, niewygodne pytanie.

- Proszę pana, ja mam chyba jakiś felerny podręcznik do historii Polski – powiedziałem.

- A dlaczegóż to? – zapytał.

- A bo w moim podręczniku ostatnia lekcja kończy się na roku 1917, 1918, a następna zaczyna się na roku 1939. Przecież w międzyczasie też musiało się w Polsce dziać coś godnego uwagi.

Tu muszę dodać, że wtedy nie miałem pojęcia, kto to był marszałek Józef Piłsudski. Słyszało się tu i ówdzie to nazwisko, ale niezbyt często i nie oficjalnie. W naszej warmińsko-mazurskiej rodzinie nie znano historii Polski. Może więc dlatego byłem taki dociekliwy, bo historia pasjonowała mnie od zawsze.

Do dziś pamiętam minę tego nauczyciela. Spojrzał na mnie jakimś takim wzrokiem, którego nie byłem później przez długie lata w stanie rozszyfrować. Wyrażał złość, niecierpliwość, niepewność, a może nawet strach. Pan nauczyciel pochylił się nad moją ławką i jakby jadowym szepcłem wycedził przez zęby, cytując: „A gównu to cię obchodzi!!!”.

A ja i tak się kiedyś dowiem! – zawziętem się wtedy.

Po bardzo wielu latach, już po powrocie na stałe do Polski, kiedy pisałem do radia i gazety gawędy w gwarze i wydałem książkę – zbiór gawęd z kasetą, pojechałem na wycieczkę-pielgrzymkę na warmiński odpust do Verl w Niemczech. Tam co roku spotykają się tysiące tych, którzy stąd wyemigrowali. Zaproponowano mi, żebym zabrał ze sobą swoje książki. Moje gawędy były w tym środowisku w Niemczech znane. Rodziny albo znajomi wycinali je z gazety i wysyłali do Niemiec. Nic dziwnego więc, że książki rozchodziły się jak woda. W pewnej

chwili do stolika na dziedzińcu katedry, gdzie podpisywałem książkę, podszedł starszy elegancki pan. Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym zapytał: „Czy pan mnie poznaje?”. Głos wydał mi się znajomy, wiedziałem, że kiedyś go już słyszałem, ale gdzie, kiedy? Na pewno bardzo dawno temu.

- Genosse S. (towarzysz S.) – przedstawił się. Rozpoznałem go natychmiast. Wszystko błyskawicznie wróciło. Bardzo byłem zdziwiony, że spotykam tu tego człowieka.

- Chciałbym pana przede wszystkim przeprosić i wcale bym się nie dziwił, gdyby pan moich przeprosin nie przyjął – dodał natychmiast. Chciał mówić dalej, wiedziałem o czym. Przerwałem mu i powiedziałem, że już nie trzeba. Sam już długie lata wcześniej się dowiedziałem. Otóż zacy pan S. był takim samym Warmiakiem jak ja, czyli na tamte czasy po prostu Szwabem. Nikt go wtedy o to nie podejrzewał, tym bardziej że miał na imię Kazimierz, i nie daj Boże, gdyby to się wtedy wydało. Straciłby pracę nauczyciela i w ogóle miałby grube nieprzyjemności. Był bardzo szczęśliwy, że mnie spotkał. Tamto wydarzenie bardzo mu ciążyło, mówił. Przez jakiś czas zapomniał, ale w ostatnich latach, kiedy i do niego dotarły moje gawędy, odżyło znowu. Przypomniał sobie i skojarzył tego dociekliwego gówniarza, którego – jak to sam powiedział – tak bardzo wtedy skrzywdził.

- Niech mi pan wierzy, gdybym tak obcesowo wtedy nie postąpił, to ten małolat nieraz jeszcze zadawałby mi, podejrzewam, jeszcze bardziej kłopotliwe pytania.

Pamiętam, że całe miasteczko się wtedy dziwiło, że pan S. raptem przepadł. Rozpadło mu się małżeństwo i ludzie mówili, że gdzieś się na drugi koniec Polski przeprowadził. Rozmawialiśmy w Verl bardzo długo. Mieliśmy się w następnym roku spotkać w Olsztynie, ale pan S. w międzyczasie zmarł.

Przez całe życie historia naszego regionu bardzo mnie interesowała. W okresie mojego życia w Niemczech również starałem się zgłębić ten temat widziany oczyma Niemców. Materiały, do których docierałem, nie napawały optymizmem albo dumą, że z tych stron pochodzę. Dowiedziałem się, że Prusy Wschodnie (Ostpreussen) były istotne dla ówczesnych Niemców, zwłaszcza ich gospodarki – ale tylko tyle, albo aż tyle. Bo zaraz po tym mogłem przeczytać, że „da wo endet die Kultur, findest du einen Masur“ (tam, gdzie kończy się kultura, znajdziesz Mazurę). To bolało, chociaż Mazurem czułem się tylko w pięćdziesięciu procentach. Pocieszałem się, że o Warmii (Ermland) nic się tam nie mówi. A ja przede wszystkim czułem się Warmiakiem. Miałem w tym okresie ogromne szczęście poznać osobiście wybitną osobowość, profesora Carla Dedeciusa, wybitnego tłumacza literatury polskiej,

wtedy dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadt. (Aż dziwne, że tak mało się wie w naszym kraju na temat tego człowieka). Pan profesor w trakcie naszych kilkakrotnych spotkań powiedział mi, że bym się nie niecierpliwił. Że jeszcze trochę wody upłynie, zanim prawda o naszej przeszłości (myślał tu także o swojej) zostanie doceniona i dowartościowana.

Po powrocie do Polski w 1992 r. zauważyłem, jak wielką estymą, coraz bardziej z roku na rok, cieszy się w naszym kraju Napoleon Bonaparte. Organizuje się coraz więcej inscenizacji jego bitew na naszych terenach. Zaczyna urastać do rangi bohatera naszych ziem. A przecież wiadomo, co on tu nawyczywał, jak nasza kraina na jego tu bytności ucierpiała. W okresie zbliżającej się rocznicy kopernikowskiej często wspominało się o Szwedach, dziś przyjaciółach i sąsiadach. Jakoś nikt specjalnie nie wspominał o krzywdach, jakie nam ten naród w przeszłości wyrządził, ani o tym, że okradli nas z naszych skarbów narodowych, oryginałów dzieł naszego Mikołaja Kopernika, i do dziś nie chcą ich oddać.

W okresie zbliżającej się rocznicy bitwy pod Grunwaldem media coraz częściej to historyczne wydarzenie przypominały. To dobrze, bo to wielka data. Tylko dlaczego, zastanawiałem się, w opisach historycznych opierają się na tym, co w swojej książce napisał Henryk Sienkiewicz? Przecież to w ogromnej większości fikcja literacka. Rozumiem, że to zasłużony dla naszej kultury człowiek, laureat nagrody Nobla, ale nie dostał jej przecież za swoją powieść *Krzyżacy!*

Za dużo już przeczytałem i wiedziałem na temat bytności Zakonu na naszych ziemiach, żeby zgadzać się z tym, co się widzi i czyta w polskich mediach. Oprócz niezaprzecznego zła, o którym zapomnieć nie sposób, wprowadzili oni – na żądanie mazowieckiego księcia – kulturę zachodniej Europy na tereny Prus. To oni jako pierwsi rozpoczęli tu budownictwo murowane, zakładali miasta i grody, budowali zamki i kościoły, wytyczali drogi i trakty. Do dziś z tego korzystamy i jesteśmy z tego dumni. Dlaczego się więc o tym milczy, a gloryfikuje Napoleona?

Kiedy późną jesienią 2009 r. obradowaliśmy w Komitecie organizacyjnym kolejnego WARMIŃSKIEGO KIERMASU TRADYCJI, DIALOGU I ZABAWY na rok 2010 w Bałdach nad scenariuszem tej imprezy, zaproponowałem, żeby fundatorem głazu dla pierwszego warmińskiego biskupa Anzelma, który z Zakonu się wywodził, został aktualny 65. Wielki Mistrz, dr Bruno Platter, kilku członków komitetu popukało się w czoło. Rok 2010 to okrążyła osiemsetna rocznica urodzin tego biskupa. I to miał być główny, zasadniczy powód zaproszenia Wielkiego Mistrza do Bałd. Nikt nie wierzył, że Zakon to zaproszenie przyjmie. Przecież kilka już razy nie reagował, albo nie przyjmował zaproszeń od najwyższych władz Polski. A jednak przy pomocy nieocenionych państwa Monkowskich to się udało. Wielki Mistrz z delegacją Zakonu przyjechał. To było wielkie wydarzenie. Odbyła się pierwsza naukowa

konferencja na UWM, dr Platter odprawiał wraz z abp. Ziembą uroczystą mszę w butryńskim kościele, ufundował, odstonił i poświęcił głaz pamiątkowy pierwszego warmińskiego biskupa Anzelma w Alei Biskupów w Bałdach, wziął udział w pierwszym historycznym spotkaniu zakonów szpitalników w Klebarku Wielkim (Joannici, Kawalerowie Maltańscy i Krzyżacy), celebrował mszę w parafialnym wiejskim kościółku w Łukcie, który ufundował i konsekrował w roku 1407 ówczesny Wielki Mistrz Zakonu, Ulrich von Jungingen. Na koniec wizyty podczas konferencji prasowej na zamku w Rynie podał do wiadomości, że weźmie udział w jubileuszowych obchodach na Polach Grunwaldzkich.

Wielki Mistrz wrócił do Wiednia, a kilka dni potem był gościem prezydenta Komorowskiego pod Grunwaldem.

Mnie wtedy nie chodziło tylko o to, żeby wizyta w Bałdach była jednorazowym acz doniosłym wydarzeniem. Dla mnie miał to być początek procesu prostowania, naprawiania historii Zakonu na naszych ziemiach, oddania sprawiedliwości dziejowej. Przy ogromnym osobistym zaangażowaniu dr hab. Izabeli Lewandowskiej z Instytutu Stosunków Międzynarodowych UWM, Urzędu Marszałkowskiego, właścicieli hotelu Zamek-Ryn i pana Herberta Monkowskiego udało się doprowadzić do zorganizowania pierwszej międzynarodowej konferencji „Zakon Krzyżacki – Dziedzictwo Historyczne i Kulturowe a Teraźniejszość”. Konferencja odbyła się w przepięknie odrestaurowanym pokrzyżackim zamku w Rynie, zaadaptowanym na czterogwiazdkowy hotel w dniach 4-6 grudnia 2014 r. Miałem zaszczyt i honor być członkiem komitetu organizacyjnego tej konferencji.

Ze był już najwyższy czas zająć się tym tematem, świadczą opinie uczestników konferencji na jej temat, a byli to naukowcy z Austrii, Niemiec i Polski, a także relacje Polskiej Agencji Prasowej i innych mediów tam wtedy obecnych. Pojawiły się także, a jakże, inne komentarze, zwłaszcza na łamach polskich brukowców, że organizatorzy pragną gloryfikować znienawidzony przez wieki w Polsce Zakon, zrobić z Krzyżaków bohaterów, prawie narodowych. Zainteresowanie młodzieży biorącej udział w tym wydarzeniu pokazało słuszność zajęcia się tym tematem. Młode pokolenia nie znają prawdziwej przeszłości ziem, na których wzrastają, ich ojczyzny. Nadszedł czas mówienia prawdy bez przekłamań, uwarunkowań politycznych i wielu innych zahamowań słusznie minionych czasów. Jeśli teraz się tego nie zrobi, za sto lat nasi następcy będą o swojej ojczyźnie wiedzieli tyle, co my dziś o Prusach. Takie konferencje będą organizowane cyklicznie co dwa lata i bardzo dobrze. Mamy obowiązek przekazywać naszą historię prawdziwą, bez przekłamań i ubarwień. Prawda zawsze jest tylko jedna. Dumny jestem z tego, że przy moim udziale ten proces się rozpoczął.

Krzysztof D. Szatravski

Uroczyste i wzruszające wykonanie *Requiem* Alfreda Schnittke

Wydarzeniem koncertowym tej wiosny okazał się koncert muzyki dwudziestowiecznej, ambitnej, a jednak pozwalającej słuchaczom na natychmiastowe odczytanie kompozytorskich intencji, zaangażowanej pod względem emocjonalnym, i z postmodernistyczną łatwością przeciwstawiającą tradycyjnej melodyjności elementy brzmieniowe i rytmiczne, sięgające nawet do muzyki popularnej, a przecież nadającej średniowiecznemu tekstowi wymiar głęboki i niezwykle bliski współczesnej wrażliwości.

W sobotę 21 marca w Archikatedrze Św. Jakuba olsztyńska publiczność mogła usłyszeć *Requiem* Alfreda Schnittke, jednego z największych kompozytorów naszych czasów. Koncert zadedykowany „Jan Paweł II In Memoriam” odbył się pod honorowym patronatem Prezydenta Olsztyna. W tym niezwykłym przedsięwzięciu artystycznym udział wzięli soliści: Jolanta Sołowiej, Maria Malinowska, Aleksandra Gudzio i Robert Sarley, orkiestra Sinfonia Varmiensis i chór Collegium Musicum pod dyrekcją Janusza Wilińskiego.

Niejako wbrew przyjętemu przez niektórych zarządzających olsztyńskimi instytucjami kulturalnymi założeniu, że publiczności nie można proponować nic, co wyrastałoby ponad poziom komercyjnych imprez masowych, wbrew przekonaniu, że słuchacze na ambitny koncert nie przyjdą, grupa olsztyńskich artystów wystąpiła z koncertem łączącym wartości artystyczne, humanistyczne i ambicje kulturotwórcze. Koncert okazał się sukcesem. Słuchacze, podążając za zmiennym tokiem muzycznej narracji, jak zahipnotyzowani poddawali się emocjom przenikającym to dzieło. Wielką w tym zasługą solistów, chórzystów, orkiestry i czuwającego nad całym przedsięwzięciem dyrygenta Janusza Wilińskiego.

Należałoby dodać, iż w przypadku Collegium Musicum nie jest to zaskoczenie. Zespół ten od dziesięcioleci prowadzi konsekwentną politykę repertuarową, opierając się na sprzężeniu pomiędzy rozwojem jego możliwości wykonawczych i oczekiwaniami publiczności, a publiczność ze swojej strony potrafi docenić pracę muzyków i dostrzega wymagania, jakim chór musi sprostać. Nie może więc dziwić ani frekwencja na koncertach chóru, ani kontakt nawiązywany ze słuchaczami niemal natychmiast. Postawa ta od lat zjednuje olsztyńskiemu chórowi przyjaciół i jednakowo życzliwe przyjęcie publiczności.

Nie po raz pierwszy w historii Collegium Musicum podjęło to wyzwanie. Ale też nie jest to utwór, którego treści dadzą się w jednym odczytaniu wyczerpać. I nie chodzi tu o lepsze lub gorsze zrozumienie intencji kompozytora, lecz o zdolność wprowadzenia słuchaczy w ten szczególnie stan zawieszenia w brzmieniach, barwach i strukturach brzmieniowych, które prowadzą do spojrzenia na rzeczywistość i swoje z nią relacje z perspektywy, której wcześniej nie podejrzewaliśmy. To dlatego wrażliwi lub mniej oporni słuchacze muszą płakać, choć nie

czują żalu, przenika ich dreszcz, choć nie muszą się czegośkolwiek obawiać, lub promienieją radością, zapominając o troskach codzienności. Osiągnięcie takiego poziomu zespolenia pomiędzy zawartością dzieła, interpretacją i uczuciami odbiorcy jest marzeniem każdego artysty.

Alfred Schnittke należał do twórców, którzy z jednej strony posiadali zdolność oddziaływania na emocje, z drugiej tworzyli dzieła w pełni podporządkowane nadrzędnej idei formalnej, jednym z ostatnich przedstawicieli wielkiej tradycji kompozytorskiej rozwijanej od Rimskiego-Korsakowa i Głazunowa, Strawińskiego, Prokofiewa i Szostakowicza. Mimo to że należy już do grona klasyków muzyki współczesnej, wciąż nie jest kompozytorem tak popularnym, jak jego poprzednicy. Jego *Requiem*, podobnie jak część utworów symfonicznych okresu postawangardowego, realizuje założenie polistylistyczne, włączając w strukturę muzycznej narracji elementy muzyki popularnej. Efektem formalnej konsekwencji jest jednoznaczny charakter utworu, który – niezależnie od budulca – niezmiennie pozostaje muzyką w każdym calu poważną, na bazie tekstu mszy za zmarłych rozstrzygającą najbardziej dramatyczne kwestie ludzkiego losu.

Powstałe w 1975 r. *Requiem* Alfreda Schnittke to dzieło niezwykle. Charakterystyczne elementy jego kompozycji można odczytać jako symboliczne lub kontekstowe nawiązania do treści mszy żałobnej. Głos ludzki, zwłaszcza w wysokich rejestrach, idealnie ilustruje wizję wzniosłości, wznoszenia się, odchodzenia. Stąd dobór głosów solowych obejmuje dwa sopran (Jolanta Sołowiej i Maria Malinowska), mezzosopran (Aleksandra Gudzio) i tenor (Robert Sarley). To ważne, gdyż w warstwie duchowej treścią *Requiem* nie jest schodzenie do grobu, lecz raczej wydostawanie się z ograniczeń materialnego świata, wychodzenie ponad powtarzalność i schematyczność, przemijanie i trwanie, których symbolem mogą być ostinata i powracające motywy rytmiczne. O roli barw w konstruowaniu muzycznej narracji decyduje szerokie zastosowanie instrumentów perkusyjnych, które stanowią najbardziej rozwiniętą część zespołu instrumentalnego.

Koncert chórzystów oraz solistów i muzyków związanych z chórem Collegium Musicum pod dyrekcją Janusza Wilińskiego stał się wydarzeniem niezwykłym. Jakość tego wykonania przekroczyła granice gry z tekstem, wznosząc się na poziom interakcji i współtworzenia. Także poruszona muzyką publiczność pozwoliła się unieść emocjom. Coraz rzadziej mamy do czynienia z takimi wydarzeniami. A przecież taka właśnie powinna być nasza reakcja na muzykę. Zamiast na zimno rozpatrywać decyzje artystów, zamiast oceniać poszczególne elementy wykonania w kategoriach perfekcji czy wirtuozerii, powinniśmy dać się unieść muzyce i nawiązać tę szczególną komunikację, którą umożliwia tylko wykonanie na żywo. Dopiero w takich momentach możemy zrozumieć, jak nieodzownym elementem naszego życia jest muzyka.

Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku

Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku powstało w 1948 r. Swoją główną siedzibę ma ono na Wzgórzu Katedralnym, które jest zespołem architektonicznym unikatowym na skalę europejską. Jest to przykład średniowiecznego, obronnego założenia katedralnego, jednego z niewielu zachowanych w Europie. Dziś jako całość posiada ono status pomnika historii. To tutaj właśnie z górą trzydzieści lat swego niezwykle pracowitego i owocnego życia spędził Mikołaj Kopernik, tu dokonał odkrycia, które było przyczyną jednego z największych przewrotów w dziejach nauki. Na Wzgórzu Katedralnym, w Bazylice Archikatedralnej pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i św. Andrzeja Apostoła (XIV-XVIII w.) spoczywają doczesne szczątki Astronoma, których ponownego pochówku, po wcześniejszej identyfikacji, dokonano w roku 2010. I to jego postać jest w centrum zainteresowania fromborskiego Muzeum, jego dzieło i losy na tle epoki, w kontekście miejsca, w którym żył.

Większość ekspozycji muzealnych mieści się w Starym Pałacu Biskupim. To cztery wystawy stałe: *Mikołaj Kopernik – życie i dzieło* (główna ekspozycja poświęcona Kopernikowi), *Astronomia w nawigacji i geodezji*, *Witraże fromborskie* oraz *Witraże braniewskie*. Dwie wystawy czasowe: *Mikołaj Kopernik – Europejczyk* oraz duża ekspozycja powstała we współpracy z Muzeum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie: *Fides – ratio – ars. Skarby Warmii i Mazur*, obrazująca sztukę sakralną tego obszaru na przestrzeni kilkuset lat. W dawnej gotycko-barokowej Dzwonnicy (XIV-XVII w.) można zaobserwować ruch obrotowy Ziemi dzięki zawieszonemu w jej wnętrzu wahadłu Foucaulta (długość liny, na którym zawieszono kulę, to 28 m). Na tarasie znajduje się spektakularny punkt widokowy (70 m n.p.m., znakomity widok na Zalew Wiślany). W przyziemiu Dzwonnicy natomiast

mieści się planetarium na 50 miejsc (średnica kopuły 8 m, aparatura wyświetla obraz ponad 6000 gwiazd i planet), gdzie odbywają się pokazy także dla dzieci; w jego holu z kolei można obejrzeć stałą wystawę meteorytów – *Kamienie z importu*. Na pierwszym poziomie budynku znajduje się ekspozycja poświęcona piecom kaflowym – *Przyjaciele naszych długich zim*.

W niejakim oddaleniu od Wzgórza położony jest inny obiekt Muzeum – dawny Szpital św. Ducha z kaplicą św. Anny (XIV-XVII w.) wraz z przylegającym doń herbarium. Jest to jedyny w Polsce obiekt szpitalny zachowany w formie w zasadzie niezmienionej od końca XVII w. Można tam obejrzeć polichromię ścienną z początku XV w. przedstawiającą Sąd Ostateczny oraz dwa rzadkie piece łaźiebne z XV w. W dawnym szpitalu można zwiedzić trzy wystawy stałe – *Ze zbiorów Działu Historii Medycyny*, *Warmińskie malarstwo i rzeźba sakralna XVII-XVIII w.* oraz *Tolkemitter Erde – zapomniana wytwórnia*, a także dwie czasowe – *Naczynia aptekarskie XVI-XX w.* oraz *Dębowa kamizelka/skrzynka/drewniana jesionka. Trumna jako ostatnie mieszkanie zmarłego, znak odejścia i przejścia w zaświaty*.

Kolejny niezmiernie ciekawy obiekt Muzeum to mieszczący się na tzw. Górze Żurawiej, oddalony o około 2 km od Fromborka, niedawno utworzony i rozbudowany z dawnego obserwatorium astronomicznego, Park Astronomiczny. Składa się nań przede wszystkim pięć pawilonów z instrumentami do obserwacji nieba (teleskopy, lunety) oraz ścieżka dydaktyczna wyposażona między innymi w rekonstrukcje przyrządów używanych przez Kopernika. Trudno o lepsze miejsce dla kogoś zafascynowanego kosmosem.

Żaden z gości odwiedzających nasze Muzeum nie opuści go bez trwałego dla siebie pożytku. Zapraszamy!



Książka jak pudełko czekoladek

Zbiór opowiadań *Mały człowiek z wielkim psem* jest w moim odczuciu jak smak czekoladek w zdobnym pudełku ofiarowanym przez kogoś bliskiego, kogoś ważnego. Kogoś, kto chciałby nam wiele powiedzieć i wybrał taki właśnie sposób, by przekazać to, co chce.

Wyobraźmy więc sobie, że ta książka to właśnie takie pudełko czekoladek. Jeśli wolno, radziłabym zacząć od obejrzenia opakowania, bo jest z kategorii tych ciekawszych, tych, które kuszą, by zerknąć do wnętrza. Nie dość, że samo w sobie subtelne, to jeszcze jakby każda w nim czekoladka opakowana z osobną w inne pazłotko...

Bo w książce słowa współgrają z obrazem.

Ale wróćmy do czekoladek... Oczywiście wiadomo, że najlepiej smakują, gdy dozuje się przyjemność płynącą z odkrywania tajemnic ich smaku. A w tym przypadku opowieść po opowieści – jedna na wieczór, na tydzień? Jedna na jakiś czas. Właśnie! Czas. Czas spełnia w przypadku tej książki ważną rolę.

Obraz przy słowie spowalnia, zmusza do zatrzymania się na chwilę, oderwania wzroku i myśli od ciągu zdań. I dobrze, bo czas w odniesieniu do tych impresji językowych przyda się, by spokojnie przetrawić, by rozlać się w ustach smak zdań, by zamyślić się nad ich znaczeniem.

To książka, którą powinno się czytać od czasu do czasu, a nie po prostu przeczytać raz, czy nawet na raz.

Kiedy więc już przeczyta się jedną z opowieści, przetrawi ją, rozsmakuje w niej, a to, co połknięte, zamieszka we wnętrzu, będzie można spokojnie sięgnąć po kolejną. I tak opowieść po opowieści i obraz po obrazie przemierzamy niezwykle a przecież zupełnie codzienne światy.

Pewnie niektórym to historia Joanny, bohaterki tytułowego opowiadania, która „odmierzała swoje życie pojedynczymi, codziennymi zyciami” będzie smakowała najbardziej. I mnie przypadła do gustu, przyznaję. Tym, jak dyskretnie dorosła na oczach czytelnika główna bohaterka, jak odważna stawiała się z każdym nowym krokiem i jak w tym wszystkim, w całym ogromie zmian, pozostała jednak sobą, urzekła mnie najbardziej.

Inni będą pewnie długo delectować się *Ślimaka wszechświatem całym* i też zadumają się nad pytaniem jakże ważkim przecież, czy „może w tej jego wędrówce jest cała mądrość świata? Może lepiej przejść metr i być o metr bliżej celu, niż przelecieć wszechświat cały i celu nie znaleźć?”.

Jeszcze inni dadzą się skusić złudnemu zapachowi Mandarynek...

Cóż, które komu opowiadanie smakować będzie najbardziej, to już kwestia gustu. Wiem za to, że *Mały człowiek z wielkim psem* Bożeny Kraczkowskiej to książka, która potrzebuje od czytelnika czułości, skupienia i uważności. Jeśli trafi na takiego, to otworzy się przed nim,

i opowieści wypełnią aromatem przestrzeń we wnętrzu. Czytając tę książkę, warto być czułym na słowa, bo autorka opowieści zawartych w zbiorze, jest przecież i poetką, i autorką tekstów piosenek. Zdaje mi się, że skryła tam sporo subtelności językowych.

Innymi słowy, w tym zbiorze znajdziecie szczyptę przeznaczenia, garść złudzeń, sporą dawkę miłości, odpowiednią ilość poezji i kapkę zaskoczenia, a to wszystko doprawione nutą goryczy dla równowagi. Zaskoczy i zaintryguje tym mocniej, że dla podkreślenia smaku podane to wszystko zostało w delikatnym sosie obrazów stworzonych przez Mariolę Żylińską-Jestadt.



Barbara Hulanicka, Kopenik z konwalia, 1973, tkanina dwuosnowowa, wełna, len, 272 x 160 cm.
Fot. archiwum BWA Galerii Sztuki w Olsztynie

Wszechświat jako wyobrażenie, czyli Paula Dahlkego propagowanie buddyzmu w Europie

Historycy ziem Prus Wschodnich mogą sami sobie zazdrościć materiału badawczego jeśli chodzi o światowej sławy postaci związane z regionem. Mikołaj Kopernik, Immanuel Kant, Johann Gottfried Herder – te nazwiska otwierają długą listę osobistości, które urodziły się i żyły, bądź przez jakiś czas pracowały na terenie Prus Wschodnich, a wstąpiły się wielkimi sukcesami naukowej i filozoficznej natury. Sama „Albertyna” – królewiecka uczelnia stanowiąca intelektualny bastion Europy od 1544 r. do czasów drugiej wojny światowej – rekrutowała znakomicie wykształcone kadry, mające wpływ na najważniejsze zmiany w historii nauki i filozofii. Wiadomo jednak, że cechą pamięci jest jej wadliwość. Tam, gdzie krzewi się pamięć i przekuwa się ją w wiedzę, na marginesie pojawia się pytanie o to, o czym lub o kim w to miejsce zapomniano? Oczywiście, ten sposób myślenia nie jest niczym nowym (*vide*: Michel Foucault). Jest to wskazówka, którą warto podążyć, żeby zapytać o to, o kim słusznie czy niesłusznie kronikarze zapomnieli, zajęci spisywaniem dziejów.

Jedną z ciekawych postaci, o związkach której z Prusami Wschodnimi jeszcze do niedawna wspominało się mało kiedy, jest Paul Dahlke (1865-1928) – z wykształcenia lekarz, z natury myśliciel, urodzony i wychowany w Ostródzie. Niemieccy i anglojęzyczni biografowie zwykli pomijać ostródzkie pochodzenie Dahlkego. Niektórzy ogólnie podają, że urodził się w Prusach Wschodnich, a inni wręcz, że w Niemczech. W polskich wzmiankach o Dahlkem dopiero od niedawna uwzględnia się Ostródę jako miejsce jego urodzenia i wychowania, czyniąc z tego regionalny atut. Okazję ku temu wskazała 150. rocznica urodzin Ostródzianina. W rodzinnym mieście odbyły się w związku z tym uroczystości, podczas których odsłonięto pamiątkową tablicę informującą o związkach tak znakomitej postaci z Ostródą, o czym donosiły lokalne media na początku 2015 r.

Czym wstąpił się Dahlke? Należał do wąskiego grona popularyzatorów buddyzmu w Europie przełomu XIX i XX w. Zaczęło się od studiów medycznych w Berlinie, podczas których zainteresował się metodami leczenia spoza kanonu medycyny akademickiej. Najpierw zaciekał się homeopatią. Nie tylko ją stosował, ale oddał się także propagowaniu tej idei, pisząc na jej temat artykuły, by w końcu wydawać poświęcone jej czasopisma. Coraz silniej inspirowany pozaeuropejskimi

prądami myślenia, zaczął podróżować po Azji, czerpiąc z jej uduchowionej atmosfery oraz zapoznając się z nowymi paradygmatami nie tylko w medycynie, ale i filozofii. Aż przyszedł moment, w którym Dahlke zapoznał się z pismami Artura Schopenhauera (1788-1860) uznanego w historii za pioniera buddyzmu w Europie. Schopenhauer pielęgnował filozoficzny pesymizm, opowiadając, że świat to tylko złudzenie, rzeczywistość jest wolą i przedstawieniem, a spowija ją zasłona Mai, której człowiek nie pokona. Poprzez pisma Schopenhauera (np. *Świat jako wola i przedstawienie*) do Dahlkego trafiły buddyjskie idee. Co ciekawe, niektórzy biografowie twierdzą, że nie należy tego przeceniać, bo rzekomo Schopenhauer nie wywarł na Dahlkem aż tak wielkiego wrażenia. Cóż, polemika byłaby w tym miejscu tylko słowem przeciw słowu. Nie wiadomo przecież, co sądził Dahlke o tym, co wyczytał u Schopenhauera. Jest tylko pewne, że w pewnym momencie rozpoczął swą probuddyjską działalność i wstąpił się nią w świecie.

Dahlke usiłował łączyć wiedzę medyczną z zasadami buddyzmu. Praktykował płynące z buddyzmu zasady myślenia i postępowania, zakładając, że tkwi w nich prawda możliwa do wykorzystania w procesach leczenia. W 1924 r. założył w Berlinie Dom Buddyjski, który funkcjonuje do dziś. Jest to nie tylko świątynia, ale i ośrodek badań, centrum kultury skupionej wokół buddyjskich idei oraz miejsce, do którego ściągają zarówno adepci buddyzmu, jak i jego badacze, a także zwykli turyści, zdający sobie sprawę z wartości tego miejsca.

Po polsku ukazała się jedna książka Dahlkego pt. *Opowiadania buddhystyczne* w przekładzie Wojciecha Szukiewicza (Warszawa-Lwów 1906 r.). Skromnie wydany zbiór przypowieści pełnych wskazówek i pouczeń zaczerpniętych z etyki buddyjskiej nie został opatrzonej ani wstępem, ani notą biograficzną, ani najmniejszym komentarzem. Obecnie, gdy publikacja zyskuje wartość historyczną oraz stanowi unikat, można ubolewać nad tak minimalistycznie potraktowanym ponad sto lat temu wydaniem. A może warto wykorzystać ten stan rzeczy i podjąć się nowej inicjatywy wydawniczej? Kto wie. Pewne jest, że warto pamiętać o roli Paula Dahlkego w rozwoju nowych prądów myślenia w Europie sprzed ponad wieku.

Grafika w tle: Zygmunt Droński, fragment malowidła ściennego w Olsztyńskim Planetarium i Obserwatorium Astronomicznym.

Anna Rau

Zodiak Prusów według Sieci

Nasza wiedza na temat Prusów jest szczątkowa. Oczywiście na podstawie odkryć archeologicznych częściowo można odtworzyć ich kulturę materialną, jednak ta niematerialna – wierzenia, pieśni, obyczaje, tradycja, a nawet język¹ – zginęła bezpowrotnie. Dlatego też obecnie nie tylko nie można jednoznacznie określić panteonu bóstw pruskich czy przedstawić reguły wyznawanej przez Prusów wiary, ale i sprecyzować funkcjonowania ich kalendarza, stopnia zaawansowania wiedzy astronomicznej czy możliwości praktykowania astrologii. Z pewnością naturalną miarą ich czasu była zmiana pór roku i przesuwające się po niebie w cyklu rocznym gwiazdozbiory. Czy jednocześnie jednak zmiany w naturze były formułowane przez Prusów w reguły przypominające nasz kalendarz? Trudno uznać za w pełni wiarygodne opisy obyczajów i wierzeń pruskich zamieszczone w kronikach autorów chrześcijańskich – zwykle zresztą szczątkowe i ewidentnie wtórne. Na tym tle jednak dość interesujące jest zdanie niemieckiego kronikarza z Dusburga²: „[Prusowie] wszelkiemu stworzeniu jako Bogu cześć oddawali: gromy, słońce, gwiazdy, księżyc, ptactwo, zwierzęta, a nawet ropuchy upatrzili sobie za bóstwa”. Pozwala ono bowiem domniemywać, iż Prusowie nie tylko w sposób praktyczny wykorzystywali zjawiska niebieskie, lecz także czcili ciała niebieskie, żywioły i różnorakie istoty żywe, czyli traktowali je jak motywy symboliczne. Wiadomo, że częściowo miało to związek z pruskim przekonaniem o możliwości reinkarnacji zmarłego w dowolnej postaci, jako że niewielu umarłych mogło dostąpić łaski natychmiastowego wejścia do mieszczącej się we wnętrzu ziemi krainy wiecznego spokoju, większość natomiast musiała przejść swoiste oczyszczenie przez wcielenie się w ptaki, gady, płazy, a nawet owady czy rośliny. Kult świata natury był więc silny, a do tego poniekąd logiczny i racjonalny: stanowił wyraz szacunku dla drogi oczyszczania się jakiejś duszy w ciele (lub łodydze) któregoś z bytów, jak również zapewniał „lepsze notowania” na osobistą drogę pośmiertną. Ziemia była pełna życia we wszelkich formach, a każda z nich mogła być przodkiem, zmarłym sąsiadem lub bliskim, na pewno zaś uosobieniem wyższego porządku, inkarnacją bogów i przejawem obcowania widzialnego z niewidzialnym. Nawiązaniem do opisanej wizji był kalendarz pruski, w podobny sposób również Prusowie interpretowali znaki na niebie – widzialne z Ziemi zjawiska kosmiczne oraz kształty gwiazdozbiorów. Artykuł³ na temat Zodiaku Prusów można znaleźć w ogarniającej chyba wszystkie tematy świata Sieci Internetu. Mimo że naukowo jest to kwestia słabo opracowana i trudno zweryfikować zawarte w nich informacje – są interesujące, a już na pewno inspirujące, choćby jako ciekawostka związana z przeszłością naszych ziem...

Prusowie mogli poznać Zodiak jako system miary czasu i sposób opisywania rzeczywistości dzięki kontaktom z Imperium Rzymskim, co udokumentował Klaudiusz Ptolemeusz w swej księdze o geografii,

wymieniając w niej Galindów (południowych Prusów) i Sudanów (Jaćwingów). To właśnie oddział Galindów udał się wraz z Germanami, aby łupić Rzym, zaś po powrocie z wyprawy mogli oni przeschodzić na grunt swojej kultury pewne elementy południowoeuropejskiej wiedzy astronomicznej i astrologicznej. Dowodem tego jest choćby jedno ze znalezisk archeologicznych z epoki żelaza, czyli czara z okolic Grodna⁴, na obwodzie której był pas z dwunastoma rysunkami znaków niebieskich. Możliwe jest też, że zarówno Zodiak pruski, jak i rzymski stanowią dalszy ciąg starszej tradycji, wspólnej pierwotnym ludom Europy.

Nowy rok pruski zaczynał się w grudniową noc zimowego przesilenia, czyli w czas, kiedy Słońce znajduje się według europejskiego Zodiaku w znaku Koziorożca (21-22 grudnia). Prusowie zwali ów dzień *Kalāndas*, która to nazwa niewątpliwie pochodzi z języka łacińskiego (*Kalendae*). Patronem pierwszego miesiąca zimy był – paradoksalnie – gwiazdozbiór Raka, choć właśnie wtedy jest on najbardziej oddalony od Słońca. Prusowie jednak nie widzieli w nim naszego jeziornego skorupiaka, po prusku zwał się bowiem *Aüss Pippelis*, czyli „Złoty ptak”, i dla nich – jak możemy domniemywać – był to nur. Ptak ten symbolizował początek, gdyż według podań na początku świata to on (a raczej wcielony w ptaka bóg *Autrīmpus*) popłynął na dno morza i wyłowił stamtąd ziemię. Urodzeni w styczniu są więc spod znaku... nura. Tymi, którym patronuje znak Wodnika, czyli urodzonymi w lutym, według Prusów opiekuje się gwiazdozbiór Lwa, a raczej Wilka (w języku pruskim *Wilks*) – może z powodu srogości pogodowej tego śnieżnego i mroźnego miesiąca? Jeśli weźmiemy pod uwagę ówczesne obyczaje, w lutym u Prusów również panowało coś w rodzaju karnawału, czyli odbywało się więcej biesiad i praktykowano przyjazne sąsiedzkie wizyty, co było obyczajowym echem... łupieżczych wypraw. W ten sposób czas mijał do marca, którego patronką była europejska Panna, w którym to gwiazdozbiorze Prusowie dostrzegali jednak żurawia (*Gērwi*), pierwszego zwiastuna wiosny. Serce tej pory roku, czyli równonoc wiosenna, było zarazem świętem *Līgi*, czyli kultywowaniem podania o dorocznym odradzaniu się bogini Ziemi pod imieniem *Zmienni*, zaś pierwszy prawdziwie wiosenny miesiąc, kwiecień, według Prusów nazywał się *Awwins*, czyli „baran”. Jednak gwiazdozbiór mu patronujący stanowił wyobrażenie nie zwierzęcia, ale człowieka/istoty w owczej skórze, co stanowiło nawiązanie do podania o dorocznym prowadzeniu dusz zmarłych do podziemia właśnie przez odziane w takie skóry istoty. Opiekunem maja ustanowiono zstępującego z nieba *Pergrūbrisa* – nieuzbrojonego jeźdźca na kamiennym koniu, czyli gwiazdozbiór zwany w Zodiaku europejskim Bykiem. W tym miesiącu wspomniano również boginię Ziemi, a małżonkę *Dēiwsa*, boga nieba, spodziewającą się dziecka. W czerwcu bogini powiła bliźnięta (*Āušauts* i *Swāikstik*), dlatego też właśnie temu miesiącowi patronował

gwiazdozbiór Bliźniąt, zwany przez Prusów *Ašwinai*. W lipcu wspominało z kolei gwiazdozbiór Koziorożca, gdyż znajdował się on w najdalszej od położenia Słońca stronie nieba, i boga Perkūnsa. Po prusku jednak Koziorożca zwano *Azē*, czyli „kozą”. Sierpniowi przyświecał europejski Wodnik, czyli słoneczny *Zirgs* („koń”), jako że figurę tego zwierzęcia widziano w gwiazdozbiórce Wodnika. Niestety nie wiadomo, jak nazywano dziewiąty miesiąc, zachowała się natomiast informacja, iż październik określano jako *Dwāi Saūlis* („Dwa Słońca”), czyli boginie Saūli i Kurka. Czyżby więc znakiem patronującym pruskiej jesieni była Kosmiczna Równowaga – europejska Waga? Listopad określano mianem *Dwāi Ragingei* („Dwa Jelenie”). Ostre jelenie poroże może w naszej wyobraźni nawiązywać do kolca Skorpiona, nie wiadomo jednak, jaki mit uformował wyobrażenie związane z tym późnojesiennym pruskim gwiazdozbiorem, w jakiś sposób jednak mogło być to związane z odwołaniem do powracających o tej porze roku na ziemię zmarłych. Ludziom urodzonym w grudniu drogę wskazywał Wojownik na Koniu (Pikulś, władca podziemia, walczący z siłami ciemności i zniszczenia w obronie Słońca). Miał on niewątpliwie związek ze znanym w Europie zodiakalnym Strzelcem. Skoro jednak rzymski *Sagittarius* to centaur, widać również na tym przykładzie, jak bardzo Prusowie w swoim Zodiaku byli wierni własnej kulturze i rodzimej przyrodzie. Część znaków niby przypomina znaki śródziemnomorskie, lecz całość i tak obraca się w kole miejscowego systemu wierzeń oraz w obrazach zaczerpniętych z natury Północy. Prusów otaczały różnorakie przejawy boskiego porządku: służyły im hodowane przez nich konie, z lasów podchodziły do osad wilki, o świcie wiosną podnosiły klangor żurawie, tafle wody przecinały w wiecznych łowach nury, duchy przodków wędrowały za Baranem i powracały z Jeleniami... Zodiak pruski ukazywał opanowany przez człowieka wojowniczym wysiłkiem świat, ale i integrację z przyrodą, dialog tego, co ludzkie, z nieludzkim. Spójność znaczeniowa pruskich znaków Zodiaku wyjawia, iż był to świat surowy, lecz przemyślany i funkcjonujący w symbiozie z naturą.

Na końcu można by się pokusić o postawienie skrótowego „horoskopu pruskiego”: „Ludzie spod znaku Wilka są ukierunkowani na cel i sprawiedliwi, ci spod Bliźniąt – mają dwoistą naturę, zaś urodzeni pod Dwoma Jeleniami bywają waleczni, choć i niezgodni”... Czy byłby wiarygodny? – a czy znaki na niebie zdradziły w odpowiednim momencie kapłanom rychły koniec pruskiego świata?... To może drugie pytanie: czy mógłby zastąpić tak lubiane tradycyjne zodiakalne przepowiednie? – może choć na Warmii i Mazurach.... Tak czy owak dzięki rozważaniom na temat obyczajów mieszkańców tych ziem możemy choć przywoływać myślą to, co na zawsze odeszło między zapomniane gwiazdozbiory – choć tyle.

¹ Język pruski „umarł” przed 1600 r., zapisano w nim zaledwie dwa tysiące słów.

² Okulicz-Kozaryn, Łucja, *Życie codzienne Prusów i Jaćwiągów w wiekach średnich (IX-XIII w.)*, Warszawa, Państwowy Instytut wydawniczy, 1983, s. 271.

³ Jóźwiak, Wojciech: *Zodiak po prusku*, [w:] <http://www.astromagia.pl/zodiak/astrologia-wg-wojciecha-jozwiaka-okiem-astrologa/8205-zodiak-po-prusku> (dostęp: marzec 2015).

⁴ Nertiks: *Pruski zodiak oraz pruski kalendarz*, [w:] <http://pruskiwicher.wordpress.com/pruski-kalendarz> (dostęp: marzec 2015).

Zygmunt Droński, fragment malowidła ściennego przedstawiający mgławicę Koński Łeb. Fot. archiwum Olsztyńskiego Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego

Anita Romulewicz

Kopernik superstar

O Mikołaju Koperniku słyszał każdy – i duży, i mały. Powszechnie wiadomo, że był wielkim astronomem i cały świat zawdzięcza mu wiekopomne odkrycie. Jednak zapytani o coś więcej niż słynne „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”, jedni recytują kolejne profesje, którymi parał się Mikołaj z Torunia, inni zaś dumnie wymieniają miejsca, w których dochodził do sławy. I dobrze. Jednak istota jego pracy, choć wstyd przyznać, wydaje się większości dorosłych nadal zbyt zawiła, aby starać się ją zgłębić. Jak zatem zainteresować takim tematem dzieci? Jak nie zrazić młodego czytelnika do lektury, którą mądrze nazywają biografiami? I co najważniejsze, jak sprawić, by same chciały dowiedzieć się więcej o słynnym Polaku?

Na doskonały sposób, i tylko pozornie karkołomny, wpadli autorzy pierwszej monografii o Koperniku kierowanej właśnie do dzieci. Wydawca, czyli Zielona Sowa, już nie pierwszy raz wypuścił w świat pozycję osadzoną mocno w popkulturze. Marcin Przewoźniak do spółki ze świetną ilustratorką Dorotą Szoblik stworzyli książkę piękną w formie i rzetelnie opracowaną. Wykorzystali przy tym modny współcześnie zabieg marketingowy gwarantujący zainteresowanie młodego czytelnika. Sięgnęli odważnie do wzorców kultury masowej sprawdzonych przez miliony odbiorców na całym świecie, doszukując się w nich analogii pomiędzy nobliwym naukowcem a superbohaterem.

W ikonografii XXI w. zaistniał już Kopernik w berecie Che Gevary, a nawet pojawił się w barwnych stylizacjach rodem z obrazów Andy'ego Warhola. Od dawna kreowany jest na ikonę człowieka sukcesu, który zyskał szacunki i światową sławę. Zdaniem autorów książki ma on dziś szansę stać się nie tylko medialną gwiazdą, ale nawet idolem młodego pokolenia. Wystarczyłby umiętny PR, bo Mikołaj Kopernik to przecież świetny materiał na superbohatera.

Autorzy przekonują swoich czytelników, że ów słynny Copernicus tylko pozornie był zwykłym śmiertelnikiem z krwi i kości. Tak naprawdę, niczym Clark Kent, odśpinał swoje drugie ja, w chwilach, gdy uruchamiał niezwykle moce. Dokonywał wówczas rzeczy wielkich i pozwalających zmieniać świat. Zupełnie jak Superman bronił słabszych, np. stając na murach obleganego średniowiecznego Olsztyna. Znał także tajniki medycyny i mógł uzdrawiać ludzi. Idąc tym tropem, samo nasuwa się porównanie do kolejnego kultowego bohatera, mianowicie Jamesa Bonda. Kopernik, tak jak ów brytyjski agent, zdobywał doświadczenie w roli wysłannika w tajnych misjach w służbie wysoko postawionych zwierzchników. Podróżował nieco rzadziej i nie tak błyskawicznie jak agent 007, mimo to odkrywał tajemnice i realizował swoje sekretne zadania specjalne, również ryzykując własnym życiem. Jako ceniony naukowiec i szanowany duchowny nie musiał się martwić o środki zapewniające wygodne życie. No i miał swoje super nowoczesne urządzenia, których działanie znane było tylko wybranym. Na przykład ów okrągły, charakterystyczny przyrząd, który można dzisiaj dostrzec na wizerunkach astronoma, to nic innego jak bardzo nowoczesny, jak na owe czasy, komputer osobisty.

Niełatwe zadanie postawili sobie autorzy książki, chcąc zwrócić uwagę małych czytelników na osobowość i temperament Kopernika jako na czynniki, które wpłynęły na jego późniejsze sukcesy. Nie sztuką jest bowiem zachwycić potomnych spektakularnym osiągnięciem, trudniej uczynić z Kopernika wzór do naśladowania. Czytamy zatem w książce o wielkich odkryciach astronoma, ekonomisty i matematyka, a jednocześnie mamy szansę zapamiętać Kopernika jako małego chłopca, czy zwykłego nastolatka, który wyrósł na niezwykłego człowieka. I właśnie ta nierozłączność postaci żywej oraz symbolicznej towarzyszy lekturze książki. W rezultacie przekonuje, że tak jak mały Mikołaj nie zmarnował swoich licznych talentów, tak też każdy z współczesnych dzieciaków ma szansę dzięki nauce i pracy dojść do sławy godnej superbohatera.

Chłopak, który sięgnął do gwiazd to doskonała książka dla czytelnika w każdym wieku. Odrobina zdrowego dydaktyzmu, niezbyt infantylny język i niezwykle kusząca oprawa graficzna wystarczyłyby, aby zapewnić jej sukces wydawniczy. Jednak o jej popularności wśród najmłodszych czytelników zaważyło poczucie humoru i dystans do tematu. Źródłem zabawy jest tu naturalizm, wyjątkowo akceptowany przez odbiorców w wieku młodzieńczym. Ich szczere zainteresowanie i spontaniczny uśmiech z pewnością wywołają ciekawostki na temat średniowiecznych „kibelków”, niechęci do mycia się, płucia przy jedzeniu, czy też picia piwa przez dzieci. Marcin Przewoźniak gawędzi o Koperniku tak swobodnie, że mimo dosyć konkretnego i nasyczonego encyklopedyzmem bloku treści łatwo poruszyć wyobraźnię i przedmieścić się w czasie.

Nie oznacza to, że dorosłym książka nie może sprawić frajdy. Wręcz przeciwnie. Poważne opracowania naukowe czy monografie trudno jest czytać niezobowiązująco, „na wrywki”, tymczasem w tej „lekkiej” biografii Mikołaja Kopernika z każdym obróceniem strony zaczyna się inna opowieść. Raz jest to toruńskie podwórko, na którym mały Mikołaj bawi się w najlepsze, na kolejnej wchodzimy do średniowiecznej klasy, a innym razem dowiadujemy się o strojach z epoki – co jadał, jak podróżował, co robił w wolnym czasie i czy się całował. I tym sposobem, tak od niechcienia, wiemy coraz więcej, a osiągnięcia jednego z największych w dziejach ludzi przestają być tajemnicą.

Po tej lekturze rodzice będą mieli szansę zaimponować swoim pociechom. Szczególnie, że w szkolnych podręcznikach nikt nie pisze, iż mały Mikołaj, zanim wymyślił coś mądrego, być może niejedno zbroił. Natomiast nauczyciele dostają do rąk gotowy pakiet ciekawostek przynajmniej do kilku, jeśli nie kilkunastu, lekcji. Bo jest to książka nie tylko o Koperniku. Autorzy w niezwykle przystępny, a jednocześnie barwny sposób odmalowali cały jego świat, od kupieckiego Torunia, przez „oświecone” włoskie miasta i nasz Olsztyn oblegany przez Krzyżaków, aż po gwiazdy, do których zalotnie puszczał oko mimo gniewu surowej inkwizycji. Jak na bohatera przystało.

Mikołaj Kopernik. Chłopak, który sięgnął do gwiazd, Warszawa 2014.

Co tam jest? O kosmosie starożytnych

Od momentu, w którym człowiek przyjął postawę stojącą i uniół wysoko głowę, towarzyszył mu nieskończony horyzont. Zdolność do abstrakcyjnego myślenia i poddawania rozmaitych zjawisk analizie sprawiła wreszcie, że nie wystarczyło mu wyłącznie patrzeć przed siebie. Człowiek zadarł wtedy głowę i spojrział w górę, a to, co tam ujrzał, musiało wprawić go w nieopisane zadziwienie.

Tak właśnie mogły wyglądać początki nauki znanej pod nazwą astronomia, która ma swoje źródło w pierwszej fascynacji sklepieniem niebieskim oraz postawieniem sobie pytania „co tam jest?”. Dlaczego noc miesza się z dniem, czym są jasne punkty pojawiające się po zmierzchu na niebie i dlaczego niektóre z nich błędzą po firmamencie, wykonując raz regularne, innym razem (z pozoru) chaotyczne ruchy? Ówczesny człowiek nie wiedział jeszcze, że wszystko to jest doskonale zorganizowanym mechanizmem.

My, Europejczycy, ściśle związani jesteśmy z kulturą starożytnych Greków i Rzymian. Na co dzień nie do końca zdajemy sobie sprawę z tego, że wiele modeli zachowania, wypracowanych kodów kulturowych, tradycji, a nawet schematów myślowych odziedziczyliśmy właśnie po nich. A zawdzięczamy im jeszcze więcej. Samo słowo „astronomia” pochodzi z języka greckiego (ἀστρο, aster – gwiazda i νόμος, nomos – prawo) i możemy je przetłumaczyć jako „prawa gwiazd”. „Astronauta” znaczy tyle, co „gwiazdny żeglarz” (z gr. ναύτης, nautes – żeglarz, marynarz). „Kosmos” pochodzi od czasownika greckiego „kosmeo” (κόσμος), czyli „porządkuję”, ale też „ozdabiam”. Natomiast słowo „planeta” podchodzi od greckiego „plenetes” („πλανήτης”), czyli „wędrowiec”.

Życie Starożytnych Greków i Rzymian uzależnione było w dużej mierze od przyrody, np. w Rzymie istniało specjalne kolegium kapłanów-wróźbitów zwanych haruspikami, którzy wróżyli z kształtu wątroby zwierząt ofiarnych. Nie dziwi więc fakt, że kiedy w przyrodzie zachodziło jakieś naprawdę niezwykle zjawisko, starożytni nie przechodzili obok tego „cudu” obojętnie. Niech posłuży tu za przykład symbolika gwiazdy, która zawieszona na niebie miała sygnalizować, że właśnie dzieje się – albo niebawem wydarzy – jakaś rzecz niesamowita. Przykładowymi anomaliami zwiastującymi istotne historyczne wydarzenia (np. narodziny lub śmierć władcy) mogły być nagle pojawiające się na niebie gwiazdy (często były to komety), zaćmienia, narodziny zdeformowanych zwierząt, czy chociażby sny. Na przykład wyładowanie atmosferyczne, w zależności od tego z której strony przecinało niebo, mogło wróżyć pomyślność lub nieszczęście – tak Dzeus miał demonstrować swoje nastroje. Te *prodigia* (łac. niezwykle zjawiska) odgrywały tak ważną rolę w życiu społeczności, że uzależniano od nich nawet to, czy państwo powinno wyruszyć na wojnę, czy złożyć przebłagalne ofiary bóstwom i poczekać na lepszy obrót spraw.

O tym, jak bardzo niebo działało na wyobraźnię ludzi, i jak działa do dzisiaj, świadczy fakt, że kto się na nim znalazł, zyskiwał nieśmiertelność. Mam oczywiście na myśli postaci mitologiczne, które ukryły się pod kształtami gwiazdozbiorów. Można rzec, że od setek lat nad naszymi głowami rozgrywają się żywe sceny mityczne: Perseusz ściga piękne siostry – Plejady, okręt Argo przemierza bezkres niebiańskiego oceanu, a warkocz egipskiej księżniczki Berenike daje świadectwo o jej wielkiej miłości do męża.

W starożytności teoria geocentryczna cieszyła się dużą popularnością, a w średniowieczu już dominowała. Dopiero nasz rodak, Mikołaj Kopernik, zrewolucjonizował ten pogląd, wydając w 1543 r. w Norymberdze dzieło *De revolutionibus orbium coelestium*, które pozwoliło wyjść badaczom nieba z tej astronomicznej matni. Dokonanie Torunianina, obok daty bitwy pod Grunwaldem, to dwa fakty historyczne z naszych dziejów, które potrafi wymienić chyba każdy Polak. Dlatego u niektórych osób może wywołać zdziwienie informacja, że to nie Kopernik był autorem tego rewolucyjnego pomysłu, jakoby Słońce znajdowało się w centrum Wszechświata (co też do końca prawdą nie jest, jak już dowiedli naukowcy). Otóż astronom podczas swoich badań zagłębił się na długi czas w pismach starożytnych i prawdopodobnie natrafił tam na teorie głoszone przez Arystarcha, urodzonego w IV w. p.n.e. w Samos, który już ponad dwa i pół tysiąca lat temu upierał się przy teorii heliocentrycznej. Kopernik przeanalizował tę teorię zepchniętą na margines nauki i dał jej nowe życie.

Z kolei wynalezienie astrolabium, instrumentu, który często towarzyszy Kopernikowi, przypisuje się greckiej matematyczce Hypatii, żyjącej w Aleksandrii na przełomie IV i V w. Tym bardziej zasmuca świadomość tego, że ta uczona kobieta – miłośniczka nauki i filozofii – została zamordowana w wyjątkowo dramatycznych okolicznościach przez grupę rozwścieczonych fanatyków religijnych.

Starożytność wciąż jest bezdenną skarbnicą, z której możemy czerpać wiedzę nie tylko o zachodzących zjawiskach, ale i o nas samych. Nie tylko Arystarch na długo przed Kopernikiem odkrył jedną z prawd o świecie. Dokonał tego również Platon, który w swym dialogu *Timajos* stwierdził, że my, ludzie, jesteśmy dziećmi gwiazd, nierozłącznie wtopionymi w wielką masę Wszechświata. Według słów Platona początkiem wszystkiego miał być Chaos, z którego wyrosli bogowie, a ci z kolei ulepili z łez i gliny człowieka. Te akty następującego po sobie stworzenia narzucają nam logiczne stwierdzenie, że wszyscy jesteśmy małymi częstkami wielkiej całości. Jakże ucieszyłby się Platon, gdyby wysłuchał tego, co o akcie tworzenia się gwiazd i życia mają do powiedzenia dzisiejsi naukowcy, którzy przemienili romantycznie brzmiącą frazę „wszyscy jesteśmy dziećmi gwiazd” w udokumentowane badania twierdzenie.

Przez Prusy do gwiazd, czyli życie Kopernika i Kanta na nowo opisane

Wyjaśnianie tajemnic Wszechświata to zajęcie dla wyjątkowo upartych. Kilku takich zapisało się w historii. Wśród nich dwa nazwiska zyskały szczególne znaczenie. Mowa o Mikołaju Koperniku (1473-1543) i Immanuelu Kancie (1724-1804) – postaciach, które zmieniły spojrzenie przyszłych pokoleń na kosmos i rzeczywistość. Trudno zliczyć tomy, które już napisano zarówno o Koperniku, jak i o Kancie. Życiorysy tych dwóch uczonych cieszą się nie mniejszą sławą niż ich dzieła. Niedawno ukazała się książka opowiadająca o nich w sposób inny niż dotychczas.

Jerzy Sikorski i Janusz Jasiński spisali biografie Kopernika i Kanta pod kątem związków z Prusami Wschodnimi. Książka *Mikołaj Kopernik, Immanuel Kant. Dwie najwybitniejsze postacie nauki na ziemiach niegdys pruskich* łączy w sobie cechy biografii z elementami książki historyczno-regionalnej w popularyzatorskim stylu. Wydana w 2014 r. w Olsztynie powstała w ramach projektu realizowanego z Programu Współpracy Transgranicznej EISP Litwa – Polska – Rosja 2007–2013 „Podniesienie atrakcyjności północno-wschodniej Polski oraz Obwodu Kaliningradzkiego poprzez rozwój i promocję wspólnych tras turystycznych”. Ukazała się w dwóch wersjach językowych, po polsku i rosyjsku, co wykazuje dbałość o konsekwencję w koncepcji publikacji.

Biografowie zdecydowali się na przedstawienie życiorysów dwóch postaci na tle konkretnego terytorium, pokazując związki między losem człowieka, karierą uczonego, a dziejami dawnych Prus. Skoro właśnie na terenie Prus Kopernik i Kant opracowali swe wiekopomne dzieła, to może jest coś wyjątkowego w tej ziemi, która nosiła geniuszy? Co sprawiło, że i Kopernikowi, i Kantowi spoglądanie w górę pozwoliło nie tylko patrzeć w niebo i myśleć o kosmosie, ale i dojrzeć we Wszechświecie zasady, których nie dostrzegali wówczas inni, tak samo przecież podnoszący głowę do góry ku słońcu lub gwiazdom? Oczywiście w tych pytaniach tkwi przesada, ale wolno je zadać po to, by zastanowić się nad specyfiką Prus Wschodnich i zapytać o ich rolę w życiu wielkich postaci.

Książka składa się z trzech części. We wstępie autorzy przedstawili zarys historii Prus Wschodnich. Dzięki temu czytelnik, który nie miał jeszcze okazji naleźć poznać skomplikowanych losów dawnych ziem pruskich, zyskuje tę wiedzę. Również odbiorca zorientowany już w materii doceni to związane kompendium wiedzy historycznej o Prusach Wschodnich, tym bardziej, że tekst opatrzone został ciekawymi ilustracjami, mapami i zdjęciami. Ważną częścią wstępu jest swoisty wykaz nazwisk wybitnych mieszkańców ziem pruskich, którzy

wstawili się w rozmaitych dziedzinach działalności i wiedzy. Nie chcąc powtarzać treści omawianej książki, dość wspomnieć, że lista jest oczywiście niepełna. Można ją uzupełnić jeszcze wieloma nazwiskami, do czego zresztą inspiruje sama publikacja, rozbudzając ciekawość i zmuszając do szukania odpowiedzi na pytania wynikające z treści.

Część *Mikołaj Kopernik na Warmii oraz jego podróże do Wilna i Królewca* w wyważonych proporcjach przedstawia życie prywatne i zawodowe tego, który wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię. Dowiadujemy się o roli, jaką wywarł na Kopernika jego wuj, Łukasz Watzenrode, który – mówiąc w skrócie – zapewnił mu życiowy start, umiejętnie kierując jego karierą, a przede wszystkim opłacając studia i codzienne wydatki siostrzeńca. Kopernik okazał się jednak niewdzięcznikiem, który wymknął się opiece i kontroli rodziny pokładającej w nim nadzieje. Nie został biskupem, choć urząd miał na wyciągnięcie ręki. Jako kanonik prowadził swe badania nad budową Wszechświata, w efekcie czego opracował teorię heliocentryczną. Poza tym dał się poznać jako tłumacz (przełożył z greki na łacinę *Listy obyczajowe, sielskie i erotyczne* Teofilakta Simocattesa). Był uznanym lekarzem, zaangażowanym obrońcą Olsztyna w okresie prób zdobycia miasta przez Krzyżaków, kartografem, ekonomistą (vide: prawo Kopernika-Greshama) itd. Naiwny byłby ten, kto by sądził, że obserwacje nieba wystarczały Kopernikowi za całe przyjemności życia. Kroniki podają, że astronom pozostawał w związku z Anną Schilling – służącą, która gotowa była dla niego rozwieść się ze swym mężem.

Sumując, Kopernik na stronach omawianej książki jawi się jako człowiek renesansu, wiodący życie pełne rozmaitych przygód. Optyka przyjęta w publikacji, zgodnie z którą postać przedstawia się z perspektywy lat spędzonych na terenie Prus Wschodnich, dopełnia i ubarwia obraz jej życiorysu.

Drugą część pierwszego rozdziału zatytułowano *Profesor Kant – największą chlubą Królewca*. Już na początku autor biografii Kanta zadał kłam popularnym pogłoskom, jakoby Kant nigdy w życiu nie wyjechał poza Królewec, bo oto zaczyna ona się od informacji o podróżach królewieckiego myśliciela. Nie lada gratka dla domorosłych kantologów. Może przestaną opowiadać te niesprawdzone informacje, zasłyszane gdzieś na półprzespanych wykładach z historii filozofii nowożytnej, o rzekomym lęku ekscentryka przed wyjściem z domu. Na pytanie o to, czym wstawił się Kant, trudno odpowiedzieć jednym zdaniem, bo odniósł wiele intelektualnych sukcesów. Przede wszystkim trzeba wspomnieć o jego „przewrocie kopernikańskim”



w filozofii. Jak Kopernik uwzględnił ruch Ziemi wokół Słońca, tak Kant wziął pod uwagę, że podmiot jest aktywny, to znacząco poznaje, zmienia, wywiera wpływ na przedmiot. Zamiast zająć się szukaniem zasad we Wszechświecie, Kant skupił się na człowieku, bowiem to w jego umyśle tkwią kategorie, poprzez które patrzymy na świat. Człowiek jest w relacji do świata i *vice versa*. Takie postawienie sprawy wyrzuciło go z góry nogami ludzkie myślenie i obraz świata, który dotąd panował. Można wymienić jeszcze wiele osiągnięć Kanta, z których część funkcjonuje w maksymach, takich jak: „Niebo gwiazdzone nade mną, prawo moralne we mnie”, „Postępuj według takich tylko zasad, co do których możesz jednocześnie chcieć, żeby stały się prawem powszechnym”. Co ważne, Kant wypowiadał się również na tematy polityczne. Temu między innymi poświęcono dwa ostatnie rozdziały omawianej książki (*Postawa Gdańska wobec insurekcji kościuszkowskiej* oraz *Kant wobec rozbiorów Polski i Polacy wobec Kanta*).

Kant jako Prusak z krwi i kości wiódł życie zdyscyplinowane, wymagając od siebie wysiłku dla dobra wspólnego. Nie był filozofem, który „uważał, że...” oraz „twierdził, że...”, by następnie z tych tez miało nic nie wynikać poza sławą i zaszczytami. Skromne życie codzienne Kanta kontrastowało z bogatym, wyrafinowanym i brzemennym w skutki życiem intelektualnym tego królewieckiego filozofa. Więcej na ten temat można przeczytać w omawianej książce.

Per aspera ad astra mówi przysłowie. Jest pewne, że ani Kopernikowi, ani Kantowi trudy na drodze do gwiazd nie były straszne, ale sięgali po nie, by je zbadać i opisać zgodnie z ich stanem, a nie dla osobistej sławy. Wszechświat pociągał tych dwóch uczonych do tego stopnia, że oddali większość swego życia, by go pojąć. Książka J. Sikorskiego i J. Jasińskiego ciekawie i przystępnie przedstawia te wielkie postaci, konsekwentnie umiejscawiając je w kontekście Prus Wschodnich. Oby więcej publikacji o wybitnych i znanych postaciach związanych z tymi ziemiami, wszakże historia jest pod tym względem bogata.

Jerzy Sikorski, Janusz Jasiński, *Mikołaj Kopernik, Immanuel Kant. Dwie najważniejsze postacie nauki na ziemiach niegdys pruskich*, Olsztyn 2014.

Sara Jaśtak

Rozmowa z mamą

Suchy był ten stół,
Dopóki nie obryzgałyśmy go śliną.
Ostatnio tematy naszych krzyków
Stały się pojedyncze i monotonne.
Wiele za sobą już mamy niedokończonych
Śniadań i kolacji.
Ile takich rozmów wytrzymają nasze framugi?
Często mi się skarżą.
Rozważamy w nitkach obrusu,
Co się bardziej dziś opląca.
Bardzo brzydkich słów nie szukam.
Wymieniamy głupie cytaty.
Kiedyś poparzyły.
Zawijasz mnie w swoje wyjaśnienia.
Nie jesteś głupia.
Po prostu nie masz dowodów.
Tak?
Przecież nie powiesz mi, jak mnie rozebrałaś.

Wojciech Kobus

Noc jest rodzaju żeńskiego.
Budzi latarnie
na czarną godzinę schowane.

Ścierają się światła
w popiół.
Ciemniej w tunelach,
kiedy oczy już stygną.
Wloką się przez góry.

Niech zejść na ziemię.
Noc przychylił nieba.

Bobby B. Barlow

Chrystus z kulą ziemską w ręku, czyli historia zabytkowo-traumatyczna

Szedłem ulicą 1 Maja w kierunku ulicy Partyzantów. Naprzeciw Teatru im. Stefana Jaracza, niedaleko jego pomnika, mój wzrok przykuł niewielki obelisk z napisem Plac Trzech Krzyży. Zatrzymałem się, by przeczytać, co jeszcze jest tam napisane.

- To najmniejszy z olsztyńskich placów – zagadnął mnie jakiś staruszek. Skinąłem głową, nie chcąc wchodzić w dyskusję, bo dziadek wyglądał na poszukującego kontaktu i słuchacza. – Ale nijak ma się do Placu Trzech Krzyży w Warszawie. Ponoć tutejszy plac nazwali tak przez pomyłkę, bo przed wojną była tu ulica Krzyżowa. Wiesz pan, że tu, gdzie pan teraz stoisz, był na początku osiemnastego wieku dom zarazy i cmentarz? No, mało kto o tym wie. Jak dzuma przeszła przez Olsztyn, to ci, co ocalili, postawili tu pomnik Chrystusa z kulą ziemską w ręku. Na pamiątkę. Po drugiej wojnie światowej i zdobyciu miasta ówczesnym władzom nie podobał się pomnik w centrum miasta i kazano go usunąć. Byłem przy tym, jak go rozbierali i wywozili na wysypisko śmieci. Aż serce mi się ścisnęło. Taki zabytek. Najstarszy pomnik w Olsztynie wylądował na śmietniku. Oficjalnie jako konserwator zabytków protestowałem przeciw niszczeniu takich pamiątek, ale sprawa była bardzo delikatna. Wiesz pan, głęboka komuna, a tu symbol religijny. Pamiętam, że wtedy, pod osłoną nocy, pojechałem na wysypisko, odnalazłem pomnik i przywiozłem go do domu. Myślałem, że żona mnie zabije. Wyobraź pan sobie M2, w jednym pokoju z kuchnią moi rodzice, a w drugim ja z żoną, dwiema córkami i trzecim dzieckiem w drodze. I do tego wszystkiego Chrystus z kulą ziemską. Żona straszyla mnie, że nas wszystkich za to wsadzą do więzienia, ale ja nie mogłem pozwolić, by zabytek niszczał na śmietniku. Z drugiej strony sprawa przywrócenia go na oficjalny wniosek konserwatora zabytków zaszła już tak daleko, że w każdej chwili mogli zadecydować o jego powrocie na dawne miejsce. No i miałem dylemat. Wywożę z powrotem na śmietnik, a nie zaakceptują przywrócenia, to zniszczę zabytek. Albo zaakceptują jego powrót, a go tam nie będzie, to zrobią dochodzenie i trafią do mnie, a wtedy ja i rodzina trafimy do więzienia. Najlepiej więc było mieć dwa pomniki. I tu z pomocą pospieszył mój ojciec, który przed wojną pracował jako kamieniarz. Dzięki licznym znajomościom i litrom bimbru udało się załatwić bryłę piaskowca. Co prawda zbyt małą, by nowa rzeźba dorównywała wielkością oryginałowi, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Pamiętam, że ojciec pracował dniami i nocami, a w domu było pełno pyłu. Zbyt prędko władze zgodziły się na oddanie pomnika, co spowodowało, że ojciec nie zdążył z jego dokończeniem. Oryginalnie Chrystus odziany w szatę miał nagi prawy bok i uniesione ramię, a w wykonaniu mojego ojca wyglądał, jakby pod jedną szatą miał drugą, zakrywającą bok i ramię. Pamiętam, że w nocy wieźliśmy rzeźbę na śmietniko i tam oblaliśmy ją różnymi chemikaliami, by pomnik staro wyglądał. Następnego dnia oficjalnie odnaleziony Chrystus z kulą ziemską został przewieziony pod kościół pw. Najświętszego Serca Jezusowego i tam stoi do dzisiaj.

- Dlaczego nie oddał pan oryginalnego pomnika? – zapytałem.

- Bo w domu doznał niezręcznego wypadku. Otóż raz moja żona wściekła zamachnęła się na mnie szmatą. Robiąc unik, zderzyłem się z Chrystusem i przewróciłem go. Pomnik stracił głowę, prawe ramię i część kuli symbolizującej ziemię. Nie było szansy naprawy.

- Ale dlaczego o tym wszystkim mi pan mówi?

- Dla spokoju sumienia – powiedział staruszek, odchodząc. – Bo za życia nie miałem odwagi.

23 lutego 2015 r.



Fot. Anita Romulewicz

Marsjanie są wśród nas

„Węgier, jaki jest, każdy widzi” – może tak powinno się mówić, zamiast każdemu znanego powiedzenia „Lengyel, Magyar – két jó barát”. Mimo pozornej kosmiczności ich języka „borat” albo „brat” zrozumie każdy, kto miał styczność z któryś z języków słowiańskich. Po prostu ktoś od wina (bor w języku węgierskim) – albo to tylko moja teoria. Są tacy historycy, jak na przykład Elie Kedourie, którzy bezwzględnie uznają, że nie ma ważniejszej autoidentyfikacji narodowej niż język. Można pójść dalej i powiedzieć, że język wpływa na myślenie. Komu komplikuje to bardziej życie? Nam czy Węgom? Nem tudom (nie wiem).

Na jeden z najsłynniejszych żartów, m.in. z języka, pozwolili sobie wybitni węgierscy naukowcy² pracujący w czasie II wojny światowej w Los Alamos przy Projekcie „Manhattan”, którego celem – jak dobrze pamiętamy – była budowa pierwszej bomby atomowej³. Grupa węgierskich naukowców przez życzliwych kolegów, ale również za ich własnym przyzwoleniem, szybko została nazwana „The Martians”, czyli Marsjanie. Najprawdopodobniej po raz pierwszy określenia tego użył słynący z równie wybitnego poczucia humoru fizyk niemiecki Fritz Houtermans. Miało to pomóc (głównie amerykańskim kolegom) w zrozumieniu pochodzenia zarówno dziwnego języka, jak i ponadprzeciętnego intelektu części europejskich naukowców. Było to również połączone z ciągłą irytacją związaną z niekończącymi się tłumaczeniami, gdzie właściwie leżą Węgry i co to właściwie za naród. John von Neumann, nie mając już do tego ani cierpliwości, ani ku temu ochoty, mawiał więc żartobliwie, że Węgrzy pochodzą z Marsa. Z tego też powodu włoski fizyk Enrico Fermi, który zapytał pewnego razu Leó Szilárda, dlaczego pomimo tak dużego prawdopodobieństwa istnienia innych inteligentnych form życia we wszechświecie istoty te nie złożyły nam wizyty, uzyskał rezolutną odpowiedź: „Już są wśród nas, nazywają się Węgrami”.

Jednym ze znakomych członków marsjańskiej grupy, choć tylko przez moment, był genialny (niektórzy mówią nawet, że najwybitniejszy) matematyk³ XX w., Paul Erdős. Dziwak, przez lata podróżujący od uniwersytetu do uniwersytetu, pomimo piastowanej przez 30 lat po zakończeniu II wojny światowej posady na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Autor ponad 1500 artykułów z koncepcjami matematycznymi dotyczącymi przede wszystkim teorii liczb, kombinatoryki i teorii grafów oraz licznych prac współtworzonych wraz z innymi naukowcami. Znany był z nadużywania amfetaminy i wyznaczania nagród pieniężnych za rozwiązanie ciekawych problemów matematycznych, których sam w tym momencie nie był w stanie rozwikłać. Bohater wielu anegdot, element swoistego folkloru środowiska matematycznego. Jednym z dowodów na to jest stworzenie liczby Erdősa zwanej również jako odległość od Erdősa, którą można wyliczyć dla

każdego naukowca lub, niech będzie, człowieka na Ziemi. I tak sam Paul Erdős, czego można się przecież spodziewać, ma liczbę Erdősa równą 0, natomiast osoba, która napisała pracę naukową wspólnie z Erdősem, ma liczbę Erdősa równą 1. Osoba, która napisała pracę naukową z kimś, kto napisał pracę naukową z Paulem Erdősem, ma liczbę Erdősa równą 2 etc. Bądźmy jednak czujni, bo naukowiec piszący swe prace samodzielnie otrzymuje nieskończoną liczbę Erdősa.

Dziś już nikt nie liczy odległości od Erdősa na własną rękę – wartość tę można poznać przy pomocy MathSciNet-u, czyli największej bazy prac matematycznych Amerykańskiego Towarzystwa Matematycznego (sic!). Warto tylko jeszcze dodać, że średnio liczba Erdősa wśród aktywnych matematyków jest mniejsza niż 5, a około 63 laureatów Nagrody Nobla ma liczbę Erdősa poniżej 9. Wspomniany wcześniej John von Neumann ma jedynie 3, ale Albert Einstein ma już tylko 2. Co ciekawe, mniej więcej w tym samym czasie pojawiła się teoria Stanleya Milgrama, która mówi o jedynie sześciu stopniach oddalenia między dwoma dowolnymi osobami na świecie – tzw. teoria sześciu przyjaciół. W przeciwieństwie do liczby Erdősa bez ustanku podlega ona falsyfikacji w trakcie kolejnych eksperymentów. Żeby dopełnić legendy, Paul Erdős często w trakcie swojego życia opowiadał o księdze ksiąg, w której to Bóg przechowuje wszystkie najbardziej eleganckie dowody twierdzeń matematycznych. Są tacy, którzy porwali się na jej stworzenie.

Nie dajmy się jednak zwariować, bo matematyk ten ma na swoim koncie kilka spektakularnych dokonań na polu matematyki, które wszak trudno docenić, nie znając przedmiotu rzeczy. Jest nim na pewno twierdzenie lub nierówność Erdősa, choć, co smutne, nie miało chyba nic wspólnego z metodą węgierską, czyli algorytmem pozwalającym „rozwiązać problem przypisania w czasie wielomianowym” (cokolwiek to znaczy).

Paul Erdős zmarł 20 września w 1996 r. w trakcie kongresu w Warszawie. Na nagrobku kazał sobie wyryć, jak przystało na genialnego naukowca, słowa: *Végre nem butulok tovább* (W końcu nie staję się coraz głupszy).

I chyba zapomniałam dodać, że język Marsjan, tzw. aglutynacyjny, jest wyjątkowo logiczny, matematyczny, a procesy powstawania słów czy zdań są poddane ściśle określonym regułom. Nie ma to nic wspólnego ze swojską, łańską fantazją wyjątków języka polskiego.

¹ Szukających pełnej listy odsyłam do biblioteki lub bogactwa źródeł Internetu.

² Co do tego, po której stronie były wtedy Węgry jako państwo, nie jako naród, coraz trudniej chyba teraz się zgodzić zarówno obywatelom, politykom, jak i historykom.

³ Historia o tym, dlaczego nie przynajmniej się Nobla w dziedzinie matematyki, będzie innym razem.



KOSMICZNA DZIURA

*Radosław Tarasiewicz (2013 r.)
boisko PLP w Olsztynie
Fotorelacja Bartosz Ordelewski*